tygodnik społeczno-kulturalny
Łódź odgłosy
NR 5 (1208) ROK XXIV 1 LUTEGO 1981 R. CENA 3 ZŁ

— Panie ministrze — pytam w przerwie prof. Stanisława Czajkę — Czy ma pan asa w kieszeni?

Wiceminister klepie się po kieszeniach...

— Niestety, są puste.

Mija właśnie siódma godzina obrad. I ona nie dała wyjścia. Studenci są nieprzejednani. Wiceminister też. I w dodatku nie ma asa.

Zaplanowana na dziesięć minut przerwa — któraż to dzisiaj? — przedłuża się do pół godziny. Obok sali obrad, w jednym z pokojów, trwa narada Studenckiego Komitetu Jedności.

Godzina dwudziesta pierwsza: drzwi otwierają się...

— Śpiewcy — rzuca krótko Paweł Gniazdowski. Wszystko jasne: proklamowano strajk.

Kwadrans potem. Pustoszejąca sala. Studenci — w płaszczach i czapkach — stojąc wysłuchują ostatniego komunikatu.

— Od tej chwili na Uniwersytecie Łódzkim trwa strajk okupacyjny. Wierzymy i jesteśmy przekonani, że jest to jedyna droga do rozwiązania naszych problemów...

Z głosem tym krzyżuje się inny, dobiegający z sali obrad głos wiceministra:

TOMASZ SOLDENHOFF

# bunt półproduktów

— Ja tu nie przyjechałem na bezwarunkową kapitulację.

Za późno. Strajk stał się faktem.

1

Było to w środę, 21 stycznia. Przeszło dwa tygodnie od chwili, gdy na Uniwersytecie Łódzkim rozpoczął się protest studentów. Dokładnie: od wtorku, 6 stycznia.

„Solidarne Czekanie" zainicjowano na Wydziale Prawa i Administracji. Stąd iskra przeniosła się na inne wydziały.

Jak do tego doszło? Jeszcze 10 grudnia Niezależne Zrzeszenie Studentów na tym wydziale przedstawiło władzom dziekańskim listę postulatów. Nie trafiła ona jednak na najbliższe posiedzenie Rady Wydziału. Nie rozpatrzyli jej nawet dziekani, którym tę samą listę przekazywano zresztą jeszcze dwukrotnie... Mówią studenci:

— Dziekan odsyłał nas do prorektora, prorektor do rektora, ten znów do swego zastępcy. Daliśmy władzom ultimatum do końca stycznia.

Ale jeszcze przed świętami NZS ostrzegło dziekana o planowanej akcji protestacyjnej. Ostrzeżenie zbagatelizowano. Teraz wystarczyła tylko iskra.

Stała się nią petycja w sprawie zastąpienia egzaminu z Podstaw Nauk Politycznych — zaliczeniem...

Studenci:

— PNP to była drobna rzecz, którą można nam było zamknąć gębę. Ale zlekceważono ją, a ona już wywołała lawinę.

Prorektor UŁ, doc. dr hab. Tadeusz Krzemiński:

— Do 19 grudnia nie znałem postulatów studentów prawa ani stanowiska dziekanów. 20 grudnia podjąłem kroki, by przyspieszyć ich załatwienie. Nie było to łatwe ze względu na okres świąt. Na 8 stycznia zaplanowaliśmy jednak spotkanie władz ze studentami wydziału. „Solidarnym Czekaniem" zostaliśmy zaskoczeni...

Ciąg dalszy na str. 6

Foto: R. Łucyszyn

Witold Kasperkiewicz

# „mała reforma"

**Krytyczna sytuacja ekonomiczna kraju i względy społeczno-polityczne wymagają szybkiego modyfikowania mechanizmów gospodarczych i zdecydowanych posunięć zapewniających warunki efektywnego gospodarowania, a zarazem wytwarzających korzystny klimat społecznego zaangażowania w dzieło uzdrowienia gospodarki narodowej.**

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że władza państwowa znajduje się między Scyllą kolosalnych trudności gospodarczych, a Charybdą oczekiwań i aspiracji niecierpliwego społeczeństwa. Rząd nie przedstawił dotąd klarownej i konstruktywnej koncepcji wyjścia z kryzysu gospodarczego. Opinia publiczna nie została jeszcze rzetelnie poinformowana o bilansie naszej gospodarki, **„główny księgowy PRL"** nie ujawnił wszystkich aktywów i pasywów gospodarki; nie wiadomo na co nas stać, z czego należy zrezygnować? Jak długo należy zaciskać pasa? — aby w przyszłości korzystać z dobrodziejstw dzisiejszych wyrzeczeń konsumpcyjnych.

**W tej skomplikowanej sytuacji z pewną dozą nadziei powitać należy nowe zasady zarządzania przedsiębiorstwami obowiązujące od 1 stycznia 1981 r. na mocy Uchwały Rady Ministrów. Zasady te zwane przesadnie „małą reformą" stanowią pakiet różnego rodzaju doraźnych i pragmatycznych usprawnień pozwalających na odbiurokratyzowanie sposobu zarządzania przedsiębiorstwami w ramach systemu funkcjonowania gospodarki.**

„Mała reforma" jest próbą rewizji dotychczasowego systemu zarządzania; próbą wyeliminowania z działalności przedsiębiorstw części administracyjnych nonsensów i uwolnienia ich od krępującego swobodę działania biurokratycznego gorsetu. Posługując się terminologią wojskową można stwierdzić, że zadaniem małej reformy jest utworzenie przyczółka, który stanowiłby punkt wyjścia do zakrojonej na szeroką skalę operacji polegającej na kompleksowej reformie systemu funkcjonowania gospodarki narodowej. Generalna reforma jest w naszych warunkach rozwiązaniem koniecznym, ale wymagającym wszechstronnych przygotowań i przemyśleń. Dojrzewanie koncepcji reformy potrzebuje czasu i nie znosi pośpiechu. Zarazem jednak należy podejmować inicjatywy uzdrawiające naszą gospodarkę; nie można tolerować do czasu wprowadzenia założeń wielkiej reformy gospodarczej tradycyjnych metod zarządzania, które podcinają korzenie efektywności gospodarczej. Taka jest w skrócie geneza przedsięwzięcia władz centralnych określonego mianem „małej reformy".

* *

Podstawowym celem **„małej reformy"** jest zapewnienie przedsiębiorstwom zwiększonego zakresu samodzielności ekonomicznej oraz stworzenie pozytywnych motywacji dla efektywnego gospodarowania. Konsekwencją tego jest wzrost odpowiedzialności przedsiębiorstwa za wyniki działalności gospodarczej.

Najistotniejszy element, to modyfikacja trybu opracowywania planu na rok 1981 polegająca na tym, że przedsiębiorstwa będą samodzielnie ustalać i — przez organy samorządu robotniczego — zatwierdzać plany swej działalności. Przesłankami budowy planu powinny być dyrektywne zadania, limity oraz własne możliwości w zakresie zaopatrzenia i zbytu. W tym kontekście sprawą zasadniczą jest ograniczenie liczby zadań dyrektywnych adresowanych do przedsiębiorstwa przez jednostki nadrzędne. W myśl decyzji rządu jednostki owe mogą przekazywać przedsiębiorstwom jedynie pięć grup wskaźników dyrektywnych dotyczących:

— wielkości produkcji podstawowych materiałów i surowców,

— wartości eksportu w podziale na I i II obszar płatniczy oraz wielkości dostaw na eksport wyrobów bilansowanych centralnie,

— wielkości dostaw najważniejszych towarów rynkowych i usług,

— zadań rzeczowych inwestycji wraz z odpowiednimi limitami nakładów w zakresie realizacji budownictwa inwestycyjnego,

— zadań związanych z obronnością i bezpieczeństwem kraju.

Tak więc władze centralne utrzymały swój wpływ na realizację przez przedsiębiorstwa kluczowych zadań gospodarczych. Jednocześnie wprowadzono zakaz stosowania innych szczegółowych zadań przez ministerstwa i zjednoczenia. W celu zagwarantowania przedsiębiorstwom warunków sprzyjających oddolnemu planowaniu jednostki nadrzędne są zobowiązane zapewnić środki niezbędne do wykonania podstawowych zadań. Idzie zwłaszcza o przydziały objętych limitowaniem zużycia lub rozdzielnictwem dostaw paliw, energii i surowców. Zaopatrzenie w pozostałe środki ma być wynikiem uzgodnień między odbiorcami a dostawcami.

Przydziały centralnie bilansowanych artykułów zaopatrzeniowych będą dzielone odpowiednio do udziału przedsiębiorstw w realizacji priorytetowych zadań gospodarki narodowej wiążących się z produkcją eksportową oraz zapewnieniem ludności podstawowych towarów i usług. Niewykonanie zadań dyrektywnych spowoduje sankcje w postaci zmiany przydziału środków na rzecz przedsiębiorstw, które mogą je wykonać.

Integralną częścią „małej reformy" są zmiany w dziedzinie planowania zatrudnienia i funduszu płac. Likwidacji ulegają paraliżujące samodzielność przedsiębiorstwa osławione limity zatrudnienia. Przedsiębiorstwa otrzymywały prerogatywy do nieskrępowanego określania zarówno ogólnej wielkości zatrudnienia, jak i jego struktury. W zależności więc od konkretnych potrzeb przedsiębiorstwa samodzielnie kształtować będą proporcje między liczbą pracowników produkcyjnych a personelem technicznym i administracyjnym.

Zmiany w zasadach gospodarowania funduszem płac można syntetycznie określić jako zwiększenie możliwości swobodnego dysponowania przez przedsiębiorstwo tym funduszem. Wysokość funduszu płac powiązana będzie z dwoma miernikami oceny działalności, których wybór zależy od charakteru produkcji w danej dziedzinie. W przedsiębiorstwach wytwarzających podstawowe surowce i materiały stosowany będzie miernik wielkości produkcji w jednostkach materialnych, przeliczeniowych lub cenach stałych. Natomiast w przedsiębiorstwach przetwórczych obowiązywać ma miernik wartości produkcji netto, odzwierciedlający wielkość produkcji i wielkość oszczędności w zużyciu środków materialnych. Planowany fundusz płac kształtowany będzie w zależności od wielkości produkcji w porównaniu z wielkością bazową, za którą przyjmuje się produkcję wykonaną w roku 1980. Przykładowo, jeśli produkcja jest większa niż w roku bazowym, za każdy

Dalszy ciąg na str. 3

# rządy w gminie

Ryszard Binkowski

Kiedy Październik wkroczył triumfalnie na wieś polską, okazało się, iż chłopi wcale nie bali się maszyn i traktorów; oni byli wrogo nastawieni do kolektywizacji, która traktorami wjeżdżała bezprawnie na ich pola. Odżył mający wieloletnią tradycję samorząd wiejski, stając się stymulatorem postępu. Chłopi zaczęli samorządnie, sprawiedliwie i skutecznie rozwiązywać wiele problemów społeczno-gospodarczych na wsi; pomagali sąsiadom będącym w biedzie, organizowali szkolenie rolnicze i mechanizację, coraz śmielej i przychylniej przyjmowali wszelkie nowinki techniczne. Ale w miarę upływu lat wszystko to zaczęło jakoś szarzeć, przygasać, ginąć. Kraj pogrążył się w małej stabilizacji, a wieś w stagnacji. Wieś polska wyludniła się i starzała, młodzi bowiem uciekali do miast, gdyż dla rządzących sprawą pierwszoplanową stała się rozbudowa przemysłu.

Aż w pewnym momencie wyszło na jaw, że ludziom może zagrozić katastrofa żywnościowa. I wtedy przyszła druga odnowa, dramatyczny Grudzień 1970. Niebawem ogłoszono z trybun wielkim głosem, iż dla wsi zapala się zielone światło. Na gwałt sprowadzano maszyny rolnicze, kupowano za granicą pasze przemysłowe, produkowano nawozy sztuczne. Dość szybko nastąpiły wydarzenia o randze historycznej: zniesienie kontyngentów, wprowadzenie powszechnej bezpłatnej opieki lekarskiej oraz u-

Dalszy ciąg na str. 4

# pasja według prezesa Nowaka

Andrzej Makowiecki

1.

Już wiele lat temu wokół Nowaka krążyły rozmaite ploty, że kosi pieniądze, fałszuje dokumenty, wciska do interesu rodzinę i w ogóle, wedle najlepszych mafijnych wzorów, trzyma żelazną ręką za gardło całe łódzkie środowisko muzyczne od emerytów począwszy, na wyjeżdżających za granicę instrumentalistach skończywszy.

Doprawdy, biorąc pod uwagę, iż filmowy Don Corleone był w zasadzie człowiekiem spokojnym, przeciwnym niepotrzebnemu gwałtowi i narkotykom, powiązanym z władzami oraz polecającym swojej rodzinie działać, jeśli to możliwe, w granicach pewnej legalności — Nowak w pełni zasługuje na miano pierwszego, polskiego gangstera.

Nowak nie chlastał brzytwą po oczach; rzadko również podnosił głos, a jak się uśmiechnął, to zaraz wszyscy się uśmiechali, bo w powietrzu czuć było upajający zapach banknotów. Nowak, jak mawiali muzycy, zawsze był miernym pianistą i pożałowania godnym kompozytorem, ale — trali-lali, miał za to kapustę, czyli głowę, a jak ktoś ma głowę (kapustę), to ma znajomości (gdzie trzeba), a jak ktoś ma znajomości, to inni mogą go najwyżej pocałować w rant.

Nowak lubił, jak się do niego przyszło z wódką, ale... zaraz, maleńskie wyjaśnienie. Kto to jest właściwie pan Nowak? **Otóż Włodzimierz Nowak jest człowiekiem, który niedawno, ze względu na zły stan zdrowia, opuścił więzienie, a**

Dalszy ciąg na str. 5

# Z DNIA NA DZIEŃ

*Piszę ten komentarz do bieżących wydarzeń z dużymi oporami. Nie lubię występować w chórze, ale jeszcze bardziej przemilczeń i uników. W całym kraju podnosi się coraz ozęściej stanowczy głos opinii publicznej: dosyć konfrontacji! W licznych rezolucjach przedstawiciele najrozmaitszych środowisk wyrażają swój głęboki niepokój o dzień dzisiejszy i przyszłość kraju. Wszyscy: robotnicy i twórcy kultury, rolnicy i studenci domagają się jednego, aby rząd i związki zawodowe, jak najszybciej zasiedli za wspólnym stołem do rokowań. Jest to jedyny sposób, jaki można sobie wyobrazić, a że może być skuteczny, przekonaliśmy się wielokrotnie w czasie ostatnich sześciu miesięcy. Wtedy świat rozmowy Polaków przyjmował z najwyższym podziwem i zrozumiałą ulgą. Dzisiaj przygląda się nam z nieufnością i zdumieniem; nie rozumieją dlaczego emocje, a niekiedy wręcz demagogia mogą brać górę nad koniecznością racjonalnego myślenia i działania.*

*Postawmy sprawę jasno: czy zaostrzający się konflikt, to efekt sporu o sposób i zakres skracania czasu pracy, o wolne soboty? Na pewno nie, takie przekonanie towarzyszy nam od początku stycznia (komentarz J. Katarasińskiego „Iść czy nie iść?", artykuł A. Wilczkowskiego „Wolny głos w sprawie wolnych sobót"). Konflikt dotyczy sprawy zasadniczej, oceny przebiegu realizacji porozumień społecznych. Czy można już teraz przedstawić jednoznaczną ocenę, bliską prawdy i dostatecznie precyzyjną? Moim zdaniem: nie! Pamiętamy wszyscy, w jakiej atmosferze były owe porozumienia podpisywane, i jak bardzo obie strony chciały je podpisać rzucając na szalę bardziej swoje nadzieje, niż możliwości. Nasze oceny obecne, kiedy tak szybko odwróciły się kartki kalendarza, muszą ten fakt uwzględnić. Sądzę więc, że powinniśmy nad szczegół przedłożyć obraz całości, nad literę zapisu jego intencje. A przede wszystkim nad stronę formalną i zawiłości interpretacyjne, stan aktualnych możliwości kraju i nadrzędny interes całego społeczeństwa.*

*Żywotny interes kraju wymaga dobrej woli obu stron, negocjacji, uczciwego kompromisu. Rząd w oświadczeniu swojego rzecznika przyznał, że niektóre posunięcia, jak niedostatek konsultacji, dają powód do uzasadnionej krytyki. Stworzyło to pozory arbitralnych rozstrzygnięć, a takie stawianie sprawy nie ma już żadnych szans. Protest NSZZ „Solidarność" był więc psychologicznie uzasadniony, ale jego forma wzbudziła zasadnicze opory wśród społeczeństwa. W odczuciu większości ludzi, z którymi rozmawiam, kiedy czytam ich listy przysyłane do redakcji, podjęcie najostrzejszej reakcji, jaką był bojkot pracy w soboty 10 i 24 stycznia oraz strajki ostrzegawcze — były działaniem zbyt radykalnym, a na pewno przedwczesnym, jeśli naprawdę uznaje się formułę dialogu.*

*„Należy zadać sobie pytanie, czy „Solidarność" postępuje rozsądnie, czyniąc właśnie ze sprawy skrócenia czasu pracy najważniejszy powód do nasilania konfrontacji — pisze w komentarzu z 23 bm. szwajcarski dziennik „Tagesanzeiger". — Wydaje się, że wielka część społeczeństwa polskiego nie akceptuje tego rodzaju polityki która mimo kryzysu i rosnącego zadłużenia kraju za granicą, zdąża do uczynienia z problemu skrócenia czasu pracy głównej płaszczyzny walki między związkami zawodowymi i rządem. Rozsądni Polacy, również ci, którzy nie indentyfikują się z polityką rządu, zdają sobie sprawę, że także poza granicami Polski działalność ta spotyka się z coraz bardziej powszechnym niezrozumieniem. Rodzące się w związku z tym pewne antypolskie tendencje nie powinny być obojętne również „Solidarności".*

*Takich opinii można by przytoczyć setki, napływają one z doniesień agencyjnych z różnych stron świata. Nie można ich przeceniać, ale też lekceważyć. Pamiętajmy bowiem, że aktualnie odbywa się szereg negocjacji z krajami Zachodu na temat udzielenia nam pomocy gospodarczej, dalszych kredytów i ewentualnego moratorium na spłatę zadłużeń. Stabilizacja kraju ma również wpływ na stosunek do naszych trudności gospodarczych, które się ostatnio pogłębiły. Jeśli chcemy zatrzymać ten proces, nie możemy przedłużać napięć społecznych, na ostrzu noża stawiać problemu, czy będziemy pracować dłużej czy krócej o jedną godzinę w tygodniu. Ktoś musi komuś zaufać, a jeśli nawet nie, to przynajmniej dać szansę, czas, bez presji i nacisku, który łatwo utożsamić z szantażem.*

*Ten oddech czasowy potrzebny jest wszystkim. Może i na znalezienie jakichś innych, jeszcze nie wypróbowanych form porozumienia czy konsultacji, jak np. referendum. Nie jesteśmy wprawdzie Szwajcarią, gdzie jest to stała praktyka, ale szukajmy każdego sposobu, który przyniesie oczekiwane rezultaty. Może śmielej przedstawiajmy publicznie (np. w telewizji) argumenty obu stron w dyskusyjnym zderzeniu, aby społeczeństwo mogło świadomie wybierać, a nie kierować się tylko odruchami lojalności na apele rządu lub związku zawodowego. Powtarzam: wszystko jest lepsze od sytuacji, jaka jest i wisi nadal nad nami.*

*Piszę te słowa w słoneczne, lekko mroźne południe, we wtorek 27 stycznia. Syreny akurat odwołują trzygodzinny strajk ostrzegawczy, wcześniej ruszyła miejska komunikacja. Nadal jednak trwa strajk studentów Uniwersytetu Łódzkiego. Ta sytuacja również niepokoi, mimo iż minister J. Górski zapowiedział swój przyjazd do Łodzi. Nasuwa się pytanie, niezależnie od racji stron, czy musiało to trwać tak długo?*

*Powtórzę jeszcze raz, chociaż jest to tylko gorzkie stwierdzenie bez dalszego ciągu: każdy może mieć swoje racje, po stokroć słuszne, ale to nie wystarczy, jeśli są tylko racjami jednej strony.*

**JERZY WAWRZAK**

# LUCEK

Przed kilkoma dniami żegnaliśmy w redakcji Lucjusza Włodkowskiego. Zastępca redaktora naczelnego „Odgłosów" (od 1972) objął funkcję szefa „Głosu Robotniczego". Żegnaliśmy naszego Kolegę z mieszanymi uczuciami. Ucieszył nas jego wysoki awans zawodowy i polityczny, wiemy, że władze nie mogły wybrać lepiej. Ale też to odejście z kolektywu martwi, bo rozumiemy, że braknie nam w „Odg.osach" kogoś ważnego, zarówno doświadczonego redaktora jak i zaangażowanego w najtrudniejsze tematy publicysty. Mimo iż mamy obietnicę Lucka, że jako felietonista Rodak i autor większych tekstów nie zniknie z naszych łamów. Mamy nadzieję, że uda mu się pogodzić szefowanie z pisaniem. I nie tylko. Nie ukrywamy swoich innych egoistycznych interesów. Jak dla setek tysięcy łodzian, GR jest również naszą gazetą. Chcemy więc, żeby pod nowym kierownictwem jeszcze lepiej, mądrzej i odważniej służyła społeczeństwu w duchu socjalistycznej odnowy. Znając dobrze nowego Szefa, nie wątpimy, że tak będzie. I tego też Ci, drogi Lucku, życzymy najserdeczniej w nowej, trudnej i odpowiedzialnej roli.

**ZESPÓŁ „ODGŁOSÓW"**

## REZOLUCJA KOŁA MŁODYCH PISARZY

Członkowie Koła Młodych przy Oddziale Łódzkim ZLP — wśród których znajduje się wielu studentów i absolwentów Uniwersytetu Łódzkiego zebrani na spotkaniu w dniu 26 stycznia 1981 r. wyrażają swe poparcie dla słusznych dążeń studentów — uczestników strajku okupacyjnego w UŁ.

Znane są nam Wasze żądania zmierzające do przebudowy modelu uniwersytetu i jego demokratyzacji, do nadania mu autonomii. Zasadniczą intencją tych postulatów jest przywrócenie właściwego znaczenia słowom „NAUKA" i „PRAWDA", uczynienie ze szkoły wyższej ośrodka nieskrępowanej wymiany myśli, miejsca dla autentycznego rozwoju osobowości.

Bliski jest nam również duch Waszych postulatów dotyczących problemów ogólnospołecznych i politycznych, a zwłaszcza wolności słowa i druku. Wychodzą one z potrzeby poszanowania fundamentalnych zasad: prawa każdego człowieka do swobodnego wyrażania swych poglądów, do poznania prawdy o otaczającym go świecie, do życia w warunkach rzeczywistej demokracji.

Solidaryzując się z Waszymi działaniami, wyrażamy nadzieję, że najbliższe dni przyniosą pomyślne, satysfakcjonujące Was rozwiązanie.

Niech nasza rezolucja zaświadcza o bliskich związkach łączących młodych pisarzy, studentów i pracowników nauki, o jedności środowisk akademickich i twórczych!

# DZIENNIKARZE ŁÓDZCY O SPRAWACH KRAJU

**Dokument ten przedstawiony został przez Zarząd Oddziału Łódzkiego SDP na spotkaniu z sekretariatem KŁ PZPR, gdzie był żywo dyskutowany przez przedstawicieli instancji. Podsumowując dyskusję I sekretarz KŁ Tadeusz Czechowicz przyjął ze zrozumieniem spojrzenie dziennikarzy na rozwój wydarzeń w kraju stwierdzając, że podzieli wiele ich opinii, które przekaże władzom centralnym.**

**REDAKCJA**

**P.S.**

**Jak wiemy podczas narady I sekretarzy komitetów wojewódzkich, która odbyła się 27 stycznia w KC PZPR, T. Czechowicz zapoznał uczestników spotkania z tezami niniejszego dokumentu.**

Omówienie tego tematu, który stanowi główny podmiot działalności dziennikarzy — niezależnie od ich przynależności partyjnej czy związkowej — należy rozpocząć od obecnej relacji stosunków władza — dziennikarze. Patrząc z naszego łódzkiego punktu widzenia nie sposób nie zauważyć korzystnych na razie konsekwentnych zmian w obustronnych kontaktach. Zanika dyktatura prominentów władzy politycznej (jakże często dawniej dyktująca nawet sformułowania), zanika niechęć do rozmowy władz państwowych, stosunki przestają być dyktowane przez wymuszony układ, na którego szczycie to władza polityczna przypisująca sobie wszelką wiedzę. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że dawniej mniemanie o swojej mądrości oparte było na posiadanych, a nie zawsze spopularyzowanych informacjach a także na rzekomej wiedzy o sposobie ich podania. Zaczął także funkcjonować dialog, który zmienia określenie dziennikarzy z pracowników środków masowego przekazu na pracowników środków masowego komunikowania. Bo przecież wiadomo, że jeśli jednym z warunków funkcjonowania demokracji socjalistycznej musi być dialog między władzą a społeczeństwem — to jednym z podstawowych wymogów istnienia takiego dialogu (z którego władza wie co myśli i mówią rządzeni, a rządzeni co myśli i zamierza władza) jest sprawne, nie krępowane, co rozumiemy także jako odpowiedzialne, działanie prasy radia i telewizji. I ten warunek możemy w ostatnim czasie odnotować w Łodzi po stronie aktywów zarówno władzy jak i dziennikarzy. Nawiasem mówiąc, na dziennikarzy nakłada to nowe obowiązki zniwelowane okresem radosnej, sukcesologicznej propagandy lat minionych (myślimy tu o wiedzy, rzetelności, pełnej odpowiedzialności za słowo i działanie).

Rzecz jednak w tym — i tu przechodzimy do kolejnego tematu związanego z aktualnym widzeniem sytuacji przez dziennikarzy — że taki model funkcjonowania władzy i środków masowej komunikacji pozwala na wydobycie z całą ostrością niedomogów naszego życia. Dają się zauważyć one zarówno w sferze politycznej, społecznej, administracyjnej czy wreszcie gospodarczej (chociaż wymieniając je nie sposób oddzielić jedną strefę od drugiej łączą się one ze sobą, tak jak łączy się wszystko co składa się na życie państwa).

I na tej właśnie podstawie nie sposób nie wyrazić zaniepokojenia środowiska dziennikarskiego pewnymi zjawiskami. Są sprawy które mimo wielu werbalnych zapewnień władz najwyższego szczebla nie znalazły dotychczas realnych rozwiązań, budzą frustrację społeczną, powodują zakłócenia w funkcjonowaniu gospodarki — a co rzecz najbardziej szkodliwa, nie tylko z polskiego ale i międzynarodowego punktu widzenia budzą wątpliwości polityczne.

Spróbujmy zatrzymać się nad tymi sprawami po kolei, rozpoczynając od rzeczy najważniejszej — od funkcjonowania partii. Budzą one szczególne zaniepokojenie grupy dziennikarzy partyjnych — chociaż jak praktyka wskazuje także i ludzie formalnie do partii nie należący, a myślący kategoriami dobra narodu, nie są wolni od wątpliwości.

Rozumiemy, że rozliczenie z przeszłością, z generalnymi kierunkami działania, a także analiza motywów i poczynań prominentów partyjno-państwowych okresu lat 70 będą miały miejsce właśnie na zjeździe.

Ale nie możemy — my dziennikarze partyjni — przejść do porządku dziennego nad faktem kreowania się na odnowicieli kraju, oczyszczania zabagnionych wypaczeń etyczno-moralnych tylko związków zawodowych, wszystko jedno jakiej by nie były proweniencji. Dlaczego nie przejawiają jawnej, aktywnej działalności Komisje Kontroli Partyjnej, dlaczego jedynymi figurantami, parawanami wszelkich działań oczyszczających są sakramentalnie Szczepański, Patyk i od czasu do czasu Pyka czy Wrzaszczyk. Brak informacji podjętych kroków dochodzeniowych (nie przesądzających o winie lub jej braku), budzi społeczną wątpliwość w rzeczywiste intencje ogłoszonych deklaracji, podkopuje zaufanie do władzy politycznej z wszystkimi stąd wynikającymi konsekwencjami. Nie darmo jednym z haseł związków zawodowych w odniesieniu do władzy w kraju jest zdanie: nie mamy już zaufania — chcemy gwarancji.

Jednym z głównych tematów poruszanych na licznych nieraz spontanicznie zwoływanych zebraniach podstawowych organizacji partyjnych jest sprawa nowej ordynacji wyborczej partii. Głosy te rozbrzmiewają w różnych tonach z dołu — tam gdzie jest (jak się mówi) partia a nie instancja. Dlaczego tak rzadko w dyskusji na ten temat słychać zdanie działaczy partyjnych? Dlaczego tylko niektóre instancje w kraju podjęły dialog rozpoczęty na dole? Wszak mówi się o tylu ważkich kwestiach: o zlikwidowaniu „promocji" wynikających z nomenklatury o rzeczywistych walorach moralnych kandydatów na przedstawicieli mas partyjnych. Zamiast zajęcia konkretnego stanowiska w tych sprawach zbyt często słyszymy w dalszym ciągu hasłowy monolog prominentów, za którego treściami — jeśli mamy je uważać za uzasadnione (np szermowanie hasłami o wrogach politycznych) nie stoją fakty znane opinii publicznej. Dlaczego w dalszym ciągu popełnia się ewidentne błędy polityczne ugruntowujące nieufność do intencji decydentów.

Listę przykładów można by rozszerzać. Nie chodzi jednak naszym zdaniem o taką wyliczankę, lecz o przekazanie naszych niepokojów. Wyciągnięcie bowiem wniosku, że jest to metoda postępowania, może doprowadzić do nie pozbawionej podstaw tezy o co najmniej krótkowzroczności partii. Kończąc listę przykładów dodajmy jeszcze zapowiedź spełnienia postulatu nie łączenia w jednym ręku funkcji politycznych, państwowych i społecznych (w imię tego postulatu zwolniono np z funkcji przewodniczących rad narodowych sekretarzy KW) po czym znów bulwersujące społeczeństwo powołanie do władz Frontu Jedności Narodu członków Biura Politycznego i KC.

I jeszcze jedno. Jeżeli partia nawet na szczeblu podstawowym winna uczestniczyć w nadzorze gospodarki, i jej funkcjonowaniu — to trudno czynić z tego zasadę wyznaczającą działania najwyższych instancji. Kierowanie przez partię narodem nie może odbywać się poprzez takie pojmowanie tej zasady, aby posiedzenia Biura Politycznego zajmowały się produkcją np. bielizny dziecięcej czy maszyn rolniczych. Strategia działania to jedno (zarówno w sprawach wielkich jak i małych) a działanie, kierowanie organizmem państwowym — to drugie. Nic nie będzie wynikało z precyzowania najbardziej nawet słusznych zdań i stwierdzeń — wiele może i powinno przynieść takie pojmowanie sprawy, aby rząd powołany przez organ przedstawicielski narodu, działał w myśl założeń strategicznych określanych przez partię, a był rozliczany przez tenże organ przedstawicielski, czyli Sejm, posiadający możliwość i obowiązek kontroli zgodnie z przyjętą przez partię strategią.

Reasumując. Strategia to rzecz partii, jej realizacja rzeczą rządu kontrola tej realizacji to sprawa Sejmu.

I tu dochodzimy do kolejnego punktu potwierdzającego istniejący w kraju kryzys władzy. Myślimy o kryzysie władzy wykonawczej, państwowo-administracyjnej. Wystarczy bez komentarzy przytoczyć kilka przykładów opieszałości, krótkowzroczności, braku konsekwencji, aby tezę o tym kryzysie przekonująco udokumentować. Oto sprawa wolnych sobót (jakie napięcia przeżywamy w związku z dotychczasowym brakiem porozumień, brakiem informacji o jakichkolwiek rozmowach, nie trzeba udowadniać), dalej ciągle nie rozwiązany problem reglamentowania mięsa, sposobów sprzedaży samochodów, ciągnące się bez końca sprawy ustaw o cenzurze oraz prasowej — żeby wymienić przykłady pierwsze z brzegu. A jeśli już zrobiono cokolwiek — jak np renty i emerytury — to wojewódzkie agendy wcielające przecież postanowienia rządu w życie, jeszcze kilkanaście dni po decyzji operowały tylko wiedzą zaczerpniętą z niekompletnych i wyrywkowych danych opublikowanych przez prasę.

Na przykładzie działań rządu widać, jak dalece pewne posunięcia władzy w kraju są posunięciami niewłaściwymi, jak odbija się to na całości, brak ludzi nie bojących się ryzyka związanego z decyzjami, brak wreszcie kompleksowego myślenia, o czym świadczy praktyka podsuwania projektów bez alternatywy. — Co jeszcze rzuca się w oczy? — zastraszający brak ludzi z autorytetem. Kryzys autorytetu!

Paradoskalne, że nowa sytuacja, nowy model kontaktów władza — środki masowej komunikacji zjawisko to z całą ostrością wydobyły i potwierdzają. Prasowe enuncjacje przedstawicieli centralnych urzędów i instytucji nie wychodzą za ogólniki i slogany, telewizyjne i radiowe ich wystąpienia (nie wyjmując przedstawicieli Rady Ministrów) cechują się brakiem dyplomatycznego zmysłu. (wicepremier Mach, minister Obodowski itp.).

Reasumując — uświadomienie spojrzenia łódzkiego środowiska dziennikarskiego na podstawowe problemy w kraju ze szczególnym uwzględnieniem funkcjonowania władzy, uważamy za konieczne w kontakcie z Sekretariatem Komitetu Łódzkiego — tak jak uważamy za konieczne, aby władze polityczne naszego województwa, jeśli poglądy te chociaż w części podzielają, przedstawiały je na odpowiednim forum.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

# „MAŁA REFORMA"

Dalszy ciąg ze str. 1

procent wzrostu produkcji fundusz płac zwiększa się o 0,5 proc. Jeśli zaś produkcja jest mniejsza niż w roku bazowym, za każdy procent obniżenia produkcji fundusz płac zmniejsza się o 0,3 proc.

Zgodnie z postanowieniami „małej reformy" fundusz płac przedsiębiorstwa nie będzie odgórnie dzielony, ani też sztywno szufladkowany na poszczególne kategorie (osobowy, bezosobowy, honorariów itp.). Podział ten będzie sprawą pozostającą w wyłącznej gestii przedsiębiorstwa. Otrzymały one również pełną swobodę wyboru systemów płac oraz możliwość — zwiększenia wynagrodzeń pozostałego personelu. Fundusz płac zaoszczędzony w trakcie roku nie przepada, lecz powiększa fundusz roku następnego.

Dotychczasowa płynność i arbitralność w określaniu kryteriów oceny działalności przedsiębiorstwa i dyrekcji proponuje się zastąpić sprecyzowanymi wyznacznikami oceny, na którą składają się trzy zadania:

**— wykonanie zadań dyrektywnych i zobowiązań na rzecz innych przedsiębiorstw (produkcja kooperacyjna),**

**— rentowność gospodarowania rozumiana w kategorii zysku netto,**

**— nieprzekroczenie planowego funduszu płac.**

Jeżeli kryteria owe nie zostaną spełnione, instancja zwierzchnia zobowiązana jest ustalić przyczyny tego stanu. W przypadku stwierdzenia uchybień instancja ta wspólnie z dyrekcją i samorządem robotniczym przedsiębiorstwa, uzgadnia plan naprawy niedociągnięć. Jeżeli takiego planu nie można ustalić albo plan ustalony nie zostanie zrealizowany wówczas jednostka zwierzchnia powinna przeprowadzić zmiany w kierownictwie przedsiębiorstwa.

„Mała reforma" formułuje także zalecenie dotyczące zawierania umów społecznych między załogami a kierownictwem przedsiębiorstw precyzujących wzajemne obowiązki. Uważa się, że jest to skuteczny sposób zahamowania dalszych dezyderatów płacowych, zgłaszanych dotychczas bez żadnego związku z efektywnością gospodarowania przedsiębiorstw oraz przywrócenia normalnej atmosfery pracy.

* * *

Przedstawione w poprzednim fragmencie artykułu główne założenia „małej reformy" budzą wiele zastrzeżeń i zmuszają do krytyki słabych punktów, których nie brakuje w tym projekcie. Daleki jestem od chęci zdyskredytowania i jednostronnej oceny proponowanych zmian. Dla rzeczników stopniowej odnowy naszej gospodarki, w myśl zasady festina lente, mała reforma może jawić się jako ważny etap na drodze postępowych przemian. Natomiast dla rzeczników szybkich i głębokich zmian systemowych wydaje się być próbą podretuszowania tradycyjnego systemu zarządzania przedsiębiorstwami.

Dbając o w miarę obiektywną, czyli zgodną z naszymi realiami gospodarczymi ocenę „małej reformy", zacznę **od uwypuklenia jej pozytywnych cech. Przede wszystkim na podkreślenie zasługują implikacje psychologiczne proponowanych zmian ekonomicznych.** Przerwane zostało, chociaż bardzo delikatnie, błędne koło niemożności zmian systemu zarządzania przedsiębiorstwami i gospodarką jako całością. Można przypuszczać, że „mała reforma" pozwoli załogom i kierownictwu przedsiębiorstw utwierdzić się w przekonaniu o konieczności i możliwości zasadniczych przemian w gospodarce. Ten efekt psychologiczny powinien odegrać pozytywną rolę w procesie wprowadzania w życie „dużej reformy".

Z aprobatą należy przyjąć także **częściowe uwolnienie przedsiębiorstw od pokaźnego bagażu różnego rodzaju dyrektyw, nakazów, limitów itp.** Zwłaszcza zniesienie limitów zatrudnienia i zwiększenie autonomii przedsiębiorstwa w dysponowaniu funduszem płac powinno „wydłużyć oddech" kierownictwa i umożliwić dokonywanie skromnych manewrów w tych dziedzinach. Słuszna jest również zasada oceny przedsiębiorstw według mierników netto i uzależnienie funduszu płac od efektów pracy przedsiębiorstwa. Są to zresztą zdroworozsądkowe rozwiązania, które nie mogą nie występować w normalnej gospodarce. Przyzwyczailiśmy się tak dalece do patrzenia na naszą gospodarkę przez pryzmat różnych absurdów, że rozwiązaniom zupełnie oczywistym jesteśmy skłonni nadawać znamiona reformy.

**Lista zarzutów i wątpliwości dotyczących „małej reformy" jest znacznie bogatsza niż lista zalet.** Podstawowym mankamentem wydaje się być oparcie założeń zmian na iluzorycznie pojętej zasadzie samodzielności przedsiębiorstwa. Iluzja ta polega na tym, że po pierwsze — pomimo częściowego ograniczenia liczby zadań dyrektywnych nadal obowiązuje w stosunku do przedsiębiorstw zasada ogólnego nadzoru sprawowanego przez jednostki administracji gospodarczej; po wtóre zadekretowanie samodzielności przedsiębiorstwa nie rozwiązuje problemu deficytowości środków produkcji. **Istnieje więc realna groźba, że przedsiębiorstwa nie będą mogły urzeczywistnić zwiększonego zakresu samodzielności.** „Mała reforma" nie określa w sposób precyzyjny granic ingerencji jednostki zwierzchniej w działalność przedsiębiorstwa. Zachowanie zasady służbowego podporządkowania dyrekcji przedsiębiorstwa administracji zjednoczenia stwarza niebezpieczeństwo wzbogacania ilości dyrektyw i nakazów adresowanych do przedsiębiorstw. Może to być przyczyną ostrych konfliktów między **przedsiębiorstwami a jednostką nadrzędną.**

Drugą realną płaszczyzną konfliktów będzie zapewne **problem zaopatrzenia przedsiębiorstw w środki produkcji konieczne do wykonania zadań dyrektywnych.** W sytuacji olbrzymich braków paliw, surowców, energii środków dewizowych niemożliwy będzie ich podział zgodnie z zapotrzebowaniem przedsiębiorstw. Zakładając, że w najbliższym czasie nie nastąpi istotna poprawa w tej dziedzinie, racjonalnym rozwiązaniem wydaje się selektywny przydział środków produkcji dla tych przedsiębiorstw, które zagwarantują ich najbardziej efektywne wykorzystanie i które wytwarzają najważniejsze dla rynku i eksportu towary. Na podstawie dobrze przemyślanej selekcji w przydziale środków produkcji można stworzyć przesłanki zrównoważenia bilansów materiałowych. Nieuchronną konsekwencją tej operacji będzie wyłączenie z eksploatacji przedsiębiorstw przestarzałych i najmniej efektywnych.

Tradycyjnie już przysłowiową „piętą Achillesa" wszelkich propozycji uzdrowienia systemu gospodarczego jest zagadnienie cen, które stanowią podstawowe narzędzie parametrycznego sterowania procesami ekonomicznymi. Uwaga ta dotyczy również projektu „małej reformy", która nie postuluje zmian cen surowców i materiałów. **Utrzymanie dotychczasowego wadliwego systemu cen, nie odzwierciedlającego społecznych kosztów wytwarzania i stopnia rzadkości środków produkcji, oznacza fikcyjność rachunku ekonomicznego; zaciemnia skuteczność decyzji ekonomicznych, gdyż przedsiębiorstwa nie wiedzą ile co kosztuje.** Trudno w tych warunkach wymagać od przedsiębiorstw zwiększenia efektywności gospodarowania co stanowi w sensie werbalnym podstawowy cel małej reformy.

**Podobne wątpliwości budzi sprawa produkcji eksportowej,** której znaczenia dla poprawy bilansu handlu zagranicznego nie trzeba uzasadniać. Jednym z ważnych warunków zwiększenia skłonności przedsiębiorstw do podejmowania produkcji na eksport są prawidłowo ustalone przeliczniki dewizowe. Tymczasem twórcy omawianego projektu zbagatelizowali rolę owych przeliczników. **Obowiązujące obecnie sztywne przeliczniki dawno już straciły jakikolwiek sens.** Nie uwzględniają one rzeczywistych kosztów produkcji eksportowej, co powoduje, że dla wielu przedsiębiorstw produkcja ta jest po prostu nieopłacalna. Jest to przykład jednego z wielu absurdów, których mała reforma nie usunęła. Przychodzi w tym momencie refleksja, że mała reforma, podobnie jak podejmowane w przeszłości próby „doskonalenia" zarządzania gospodarką, oferuje zamiast prawidłowych narzędzi ekonomicznych zaklęcia i pobożne życzenia („zwiększyć eksport", „oszczędzać surowce" itp.). Przy ich pomocy nie sposób zracjonalizować działalności przedsiębiorstw i zapewnić względnej stabilizacji gospodarczej na obecnym etapie.

**Rozpatrując sposób ustalania funduszu płac przedsiębiorstwa należy zakwestionować proponowaną regułę w myśl której fundusz ów będzie kształtowany w zależności od wielkości produkcji w porównaniu z wielkością bazową,** którą stanowi produkcja wykonana w roku 1980. Jakie mogą być negatywne konsekwencje tego rozwiązania? Przede wszystkim stwarza ono pewne przywileje płacowe dla przedsiębiorstw, które w minionym roku nie wykorzystały wszystkich swoich rzeczywistych możliwości produkcyjnych. W ten sposób mogą one w bieżącym okresie osiągnąć istotny wzrost produkcji (tzw. dynamikę) zakładając, że nie wystąpi katastrofa w zaopatrzeniu materiałowym. Natomiast przedsiębiorstwa, które w ubiegłym roku pracowały rzetelnie i wykonywały plan produkcji bez korekty w dół, (o dziwo były takie!) prawdopodobnie nie odnotują sukcesów w zakresie dynamiki wzrostu. Wydaje się, że podstawowym błędem tej reguły jest aprioryczne założenie, że wszystkie przedsiębiorstwa funkcjonują w tych samych warunkach i charakteryzują się zbliżoną efektywnością produkcji. **To fałszywe z gruntu założenie podważa skuteczność słusznej skądinąd zasady wiązania wzrostu funduszu płac z efektami gospodarowania przedsiębiorstwa.**

Projekt „małej reformy" niemal całkowicie pomija problem postępu techniczno-organizacyjnego (innowacji) w przedsiębiorstwie. Problem ten utożsamia się z inwestycjami, które stanowią sferę objętą dyrektywnym zarządzaniem. Przyjęto założenie, podobnie jak w „reformie wogowskiej", że ukształtowanie sprawnego systemu ekonomiczno-finansowego samo przez się zapewni dostateczny postęp techniczny w przedsiębiorstwie. Jest to jednak założenie złudne, oparte na przekonaniu o samorozwoju postępu technicznego. **Dotychczasowe doświadczenia naszej gospodarki w dziedzinie funkcjonowania szeroko pojętej działalności innowacyjnej dowodzą, że przedsiębiorstwa przejawiają dużą ociężałość, a nawet awersję do wszelkiego nowatorstwa.** Bezpośrednią przyczyną tego zjawiska są liczne bariery i hamulce innowacji wynikające z wadliwości stylu zarządzania przedsiębiorstwem, zespołami ludzkimi i układu stosunków międzyludzkich, niechęci kierownictwa do podejmowania przedsięwzięć ryzykownych itp. Jednym z warunków ożywienia innowacyjnej aktywności przedsiębiorstwa jest wkomponowanie w system zarządzania rozwiązań stymulujących, zachęcających kierownictwo i załogi do stosowania nowatorstwa pod różnymi postaciami (technologia, produkt, organizacja). Wymaga to nade wszystko zmian w systemie wynagradzania i premiowania, w sposobie kształtowania cen wyrobów i systemie finansowym, zwiększających wrażliwość przedsiębiorstw na innowacje. Z całą stanowczością należy stwierdzić, że „mała reforma" nie ma nic do zaproponowania w tej materii. **Grozi to przedłużeniem stagnacji technicznej przedsiębiorstw i całej gospodarki.**

Przedstawione poprzednio wątpliwości i uwagi krytyczne oparte w zasadzie na ocenie konkretnych rozwiązań „małej reformy" należy uzupełnić konkluzjami o charakterze ogólnym. Po pierwsze, **„mała reforma" proponuje pakiet doraźnych usprawnień, które są niekompletne i niespójne wewnętrznie.** Nie tworzą one logicznego systemu ekonomiczno-finansowego zdolnego do wyzwolenia w przedsiębiorstwach silnych zachęt do racjonalnego działania. Po wtóre, **„mała reforma" jest próbą złagodzenia niektórych symptomów złego gospodarowania w przedsiębiorstwie; jest rodzajem terapii objawowej, a nie przyczynowej.** Z tego względu założenia „małej reformy" należy uznać za zbiór pobożnych życzeń dotyczących poprawy gospodarności. Po trzecie, nawet **w ramach tej reformy można było pokusić się o wprowadzenie do systemu zarządzania bardziej radykalnych i przemyślanych półśrodków np. w zakresie funduszu płac, produkcji eksportowej i funkcjonowania samorządności pracowniczej.** Po czwarte, „mała reforma" **nie narusza systemu centralnej administracji gospodarczej,** co stwarza realną groźbę, że owe doraźne usprawnienia będą wprowadzone z wielkimi kłopotami. Najlepszym dowodem na to jest fakt, że wiele przedsiębiorstw w początku stycznia bieżącego roku nie otrzymało jeszcze resortowych przebisów wykonawczych stanowiących konkretyzację Uchwały Rady Ministrów. Jest to tym bardziej dziwne, że uchwała dotyczy między innymi sposobu przygotowania planu na rok 1981.

Rodzi się wreszcie końcowa refleksja, aby wzorem minionych okresów odnowy doraźne i powierzchowne usprawnienia gospodarcze nie wyczerpały ambitnego programu reformowania systemu ekonomicznego, aby nie były parawanem dla tradycyjnych rozwiązań. **Należy żywić nadzieję, że w obecnych warunkach silna presja społeczna wywierana na władzę polityczną, wzmocniona gwarancjami instytucjonalnymi, jest najlepszym strażnikiem sprawy wielkiej reformy gospodarczej.** A „małą reformę" należy potraktować jako epizod.

**WITOLD KASPERKIEWICZ**

---

☆ ✠ ☆

*Bardzo łatwo jest rządzić i zarządzać, kiedy jeden ma rację, a inni słuchają i siedzą cicho. Znacznie trudniej, kiedy decyzje trzeba konsultować, zastanawiać się, rozważać argumenty, kiedy nie tylko ludzie na urzędach mają rację. Trudniej, bo — mówiąc szczerze — po prostu nie umiemy tego robić. Utrwalone praktyką nawyki okazują się silniejsze od deklaracji, dobrej woli i potrzeby. Bo bardzo często rządzenie zastępowaliśmy dyrygowaniem, a to nie jest to samo.*

*Oto mamy już „małą reformę". Wielu jest zgodnych, że to jeszcze nie jest to, na co oczekiwano, że to zaledwie początek i to może nie najlepszy, ale od czegoś trzeba przecież zacząć. Zaczynamy więc od „małej reformy". Tylko, że zaczynamy z opóźnieniem. Uchwała nr 118 z 17 listopada 1980 roku mówi wyraźnie, że „opracowanie planów społeczno-gospodarczych przedsiębiorstw i ich uchwalanie przez samorząd robotniczy powinno być zakończone w terminie do dnia 25 stycznia 1981 roku". Piękne to, ale nieprawdziwe. Piszę te słowa 23 stycznia 1981 roku i wiem na przykład, że w fabrykach śródmieścia Łodzi uchwalanie planu przez samorząd nastąpi dopiero 6 lutego 1981 roku. Będzie to pierwsze posiedzenie w tej części miasta.*

*Sama uchwała dotarła do ludzi dość późno. Na zebraniach, które odbywały się na początku roku wielekroć krytykowano taki stan, kiedy uchwała z 17 listopada 1980 roku ciągle jeszcze nie dotarła do przedsiębiorstw, kiedy nie bardzo wiadomo, jaka jest jej treść i co trzeba będzie robić. Czy rzeczywiście niektóre poczynania rządowe muszą dokonywać się tak niemrawo?*

*Przedsiębiorstwa opracowały plany produkcyjne na rok bieżący w dwu wersjach, jako że nadal nie wiadomo, jak to będzie u nas ze skracaniem czasu pracy i trwa batalia o wolne soboty. W tej sytuacji trzeba być przygotowanym na różne rozwiązania. Spór toczy się o 52 godziny w ciągu roku i zaprezentowano nam publicznie, ile to pralek, telewizorów, skarpet i czegoś tam jeszcze będziemy przez to mieli mniej. Jest to rachunek księżycowy, w taki sposób można wszystko obliczyć. Jest to rachunek nierzetelny, trzeba bowiem również wyliczyć, ile my tracimy przez złą kooperację, złą jakość, złe części, surowce i złą organizację pracy, a wtedy może się okazać, że per saldo „wyjdziemy na swoje" i będziemy mieli tego i owego więcej zamiast mniej, jak usuniemy niedogodności i braki występujące w czasie produkcji.*

*Chodzi bowiem o to, aby nad najbliższą przyszłością naszą rozważać w spokoju i rzetelnie, aby zacząć usuwać to, co nam przeszkadza i nie pozwala ciągle, aby półki sklepowe uginały się pod ciężarami towarów. Najidealniejsza nawet reforma tego automatycznie nie sprawi. Do tego potrzeba ludzkiej pomysłowości i pracy. A pracuje się na ogół dobrze w sprzyjającej do tego atmosferze. Takiej atmosfery teraz jeszcze nie ma.*

*„Mała reforma" nie spełnia naszych oczekiwań. Spotyka się ona z wieloma uwagami krytycznymi. Jak do tej pory jest to wszystko teoria. Jej zalety i wady wystąpią dopiero w praktyce. Chodzi więc o to, aby te wady i zalety mogły być zauważane, aby je wzięto pod uwagę, aby można je było usunąć z praktyki. Chodzi więc nie tylko o same założenie „małej reformy", ale i warunki ich realizacji i korygowanie.*

***Ekonomiści wielekroć to mocno podkreślali w różnych dyskusjach, że nie można reformować życia gospodarczego bez jednoczesnej reformy w życiu politycznym i społecznym. Jest to dialektyczne widzenie naszej rzeczywistości nie tylko gospodarczej, to znaczy dostrzeganie wielu wzajemnie warunkujących się czynników, wzajemne ich powiązanie i oddziaływanie na siebie. Chodzi więc o to, aby realizacja „małej reformy" dokonywała się w nieustannie postępującej demokratyzacji życia politycznego. Teza jest taka: bez demokracji w życiu politycznym, w działaniu partii nie będzie postępu w gospodarce. Już nie jeden raz podejmujemy próbę zreformowania naszej gospodarki i — jak do tej pory — wszystkie te próby były nieudane. Właśnie brak demokracji w życiu politycznym uniemożliwił powodzenie reformatorskich poczynań.***

*Jak jest teraz?*

*Jest różnie. Rozumiem dobrze, że z jednej strony nie można z pewnymi sprawami zwlekać, a z drugiej — czas mija zbyt szybko i ludzie się niecierpliwią posądzając władze jeżeli już nie o opieszałość, to o złe zamiary. Na rozwiązanie niektórych spraw potrzeba jednak czasu. W teorii to i owo może się wydawać proste, ale każdą teorię weryfikuje praktyka. I na przykład teraz potrzeba praktycznych rozwiązań w sprawie samorządu robotniczego. Uchwała 118 mówi wyraźnie, że plan musi być uchwalony przez samorząd robotniczy (R 6, § 14 p 4). Tylko sprawy samorządu robotniczego nie zostały od nowa rozstrzygnięte. Niektórzy więc próbują uzupełniać KSR o przedstawicieli NSZZ „Solidarność", inni powołują Radę Pracowniczą, jako najwyższą reprezentację załogi, inni próbują wrócić do ustawy o radach robotniczych z 1957 roku. Z jednej strony to dobrze, że poszukuje się rozwiązań własnych, nie czekając na „odgórne zalecenia". Jest to jedna z form postulowanej samodzielności przedsiębiorstw. Z drugiej jednak strony może powstać wiele zamętu, kiedy „centrala" się nagle ocknie i podejmie decyzje, które wszystko wymieszają od dołu do góry. A nie o to przecież nam chodzi.*

☆ ✠ ☆

*Jest różnie, bo i niektóre organizacje partyjne pogubiły się i nie chcąc zastępować administracji nie występują same z inicjatywami, oczekując zaleceń. Inne natomiast śmiało podejmują inicjatywy, zmierzając do uporządkowania spraw w fabryce, aby stworzyć właśnie takie niezbędne warunki do sprawnego działania. Załoga bowiem musi wiedzieć, co ją czeka, co będzie robiła i czy ma w perspektywie dobre zarobki czy tylko zapłatę za godziny postojowe. A na to pytanie — przynajmniej w skali roku — trudno jeszcze dziś odpowiedzieć. Tym bardziej, że trwający i zaostrzający się spór o wolne soboty nie ułatwia planowania. Trzeba więc tę sprawę rozwiązać jak najszybciej, abyśmy wiedzieli na jakim świecie żyjemy. I sądzę, że jest to sprawa do rozwiązania przy stole konferencyjnym, a nie do demonstrowania siły.*

*„Mała reforma" choć nie wszystkich zadowala może stać się krokiem naprzód, jeśli będzie ją można w ogóle zastosować, jeśli postęp w demokratyzacji życia to ułatwi, umożliwi, jeśli wnioski wynikające z jej praktycznego stosowania wpłyną na niezbędne korekty i — wreszcie — jeśli potoczy się żywa i głęboka dyskusja nad „dużą reformą", która musi wziąć pod uwagę doświadczenie „małej reformy". Trzeba tak mało, a jednocześnie tak dużo.*

**LUCJUSZ WŁODKOWSKI**

# RZĄDY W GMINIE

Dalszy ciąg ze str. 1

stawa o rentach i emeryturach dla rolników. Chłopi, którymi dotąd interesowali się jedynie krewni z miasta, domagający się spłat, początkowo przyjmowali to wszystko ze zdziwieniem, nieufnością, a później nawet z uznaniem. Rychło się jednak przekonali, iż realizacja wszelkich dobrodziejstw dla wsi mija się z głoszonymi szumnie hasłami. Bo oto po raz drugi, wbrew zapewnieniom partii i rządu, kraj rósł w potęgę przemysłową kosztem wsi, która znowu została z tyłu. Posypały się wspaniałe licencje, rodziła się w błocie wielka huta, budowano kopalnie, w których nie można było dostać się do węgla, w głowach kiełkował już wielki „Plan Wisła". A na wsi ładowano miliardy w pegeery, tworząc firmy-giganty, czyli getta dla zwierząt, chłop zaś biegał jak głupi po sklepach żelaznych w poszukiwaniu gwoździ, wideł czy łańcuchów do krów. Mimo to, pokorny jak zwykle, ofiarny, siał, oral, żywił, i nawet gadać mu się nie chciało. Nowi decydenci nie omieszkali tego wykorzystać. Chłop stał się wzorem pracowitości, godnym współtowarzyszem pracujących robotników, a sojusz robotniczo-chłopski — podwaliną socjalizmu. Tym ostatnim sloganem szermowano bez umiaru, czyniąc zeń ukwiecony, odpustowy ozdobnik retoryczny, który zamiast służyć podtrzymaniu sojuszu, wspierał nieudolnie ginącą tradycję. Bez porozumienia z samorządną organizacją kółek rolniczych, ale za to przez „szacunek dla ludzi rolniczego trudu", przydzielono chłopom bony na 1 kg cukru. I zaraz spadła uprawa buraków cukrowych. Rolnik mógł otrzymać materiały na budowę chlewni, ale na dom ani cegły. Jak się chłopu oprosiły świnie, dostawał węgiel z geesu, a gdy dziecko przyszło na świat, przydziału nie było.

Podzielono kraj nad Wisłą na socjalistyczne parafie, w których niemal wszystkie artykuły potrzebne rolnikowi w gospodarstwie były limitowane. Budżet gminny, plan społeczno-gospodarczy i wszelkie zadania w tej materii formułowało i ściśle kontrolowało województwo. Naczelnik gminy dostawał od wojewody tyle szczegółowych zadań i ograniczeń, że musiał od zaraz zobojętnieć na krytyczny „głos ludu", bo żądań mieszkańców nie był w stanie zrealizować.

Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska" i Spółdzielnia Kółek Rolniczych, zatrudniające przeciętnie po 500 i 100 osób, stały się dużymi przedsiębiorstwami państwowymi i siłą rzeczy musiały funkcjonować na innych zasadach niż organizacje samorządowe powstałe z chłopskiej woli. Taki wypaczony, ograniczający swobodę działania system organizacyjny, nie stwarzał warunków do rozwijania inicjatyw społecznych. Narastała niechęć do władzy, rodziły się skłonności do korupcji, sobiepaństwa i popleczności, zanikał dialog między władzą i wsią. Zatyranemu ,uganiającemu za każdą duperelką chłopu też się odechciewało działalności społecznej, ceny płodów rolnych były niskie, a rodzina musiała z czegoś żyć. I aniśmy się obejrzeli, jak z wielu form prężnego samorządu wiejskiego ostały się jedynie Koła Gospodyń Wiejskich. Przetrwały, bo władze nie przykładały do nich większego znaczenia. Ku utrapieniu działaczy istniały szczątkowe organa samorządu wiejskiego, a jednym z nich było zebranie wiejskie. Zwoływał je sołtys z własnej inicjatywy, albo na rozkaz naczelnika lub na żądanie prezydium gminnej rady narodowej. Tylko który naczelnik zorganizuje zebranie, żeby wysłuchiwać napastliwych wystąpień chłopów?

Ale jak już doszło do spotkania, to chłopi mogli sobie pyskować. Nic z ich żądań nie przeszło do „góry". Przestali więc chodzić na zebrania, bo ich głos liczył się tylko przy wyborze sołtysa. Ale sołtys nie jest działaczem samorządowym. To przedstawiciel administracji. Sołtys Trela z Woli Rakowej powiedział mi kiedyś, że sołtys to taka mała władza, co bez przerwy musi trzymać za klamkę u wyższej władzy.

Owszem, trzymać za klamkę może, lecz niewiele wskóra. Bo zbyt głośny, rozrabiający „sołtysina" przynosi kłopoty urzędnikom. Dla naczelnika najlepszy jest sołtys „niemowa", taki co puszcza przez wieś „powiastki" z gminy, wydaje bony na cukier, zbiera sprawnie podatki, a jak się w gminie coś zknoci, to można na niego zwalić winę.

Więc nie ma rady na naczelnika? Owszem, jest rada. Gminna Narodowa. Ale radnych i członków prezydium nie typują chłopi, lecz Front Jedności Narodu. A większość sołtysów w kraju, którzy niby to reprezentują wieś, nie jest członkami GRN i na posiedzeniach siedzi bez prawa głosu.

Naczelnik gminy do dziś jest niezależny od rady narodowej. GRN może wystawić o nim złą opinię, że jest kanciarzem, głupkiem, łapownikiem, ale go nie usunie; nie może mu nawet wydać nagany lub upomnienia. Naczelnik natomiast może samowolnie przydzielać kredyty, materiały budowlane, rozdawać maszyny i ziemię z PFZ; może nawet „przez pomyłkę" sprzedać czyjąś chałupę lub kawałek pola. Partyjny przewodniczący GRN też jest na niego za słaby. Z jednej strony naczelnik jawi się jako pan na gminnym folwarku, z drugiej zaś wychodzi na marionetkę władz zwierzchnich, bo dla dobra gminy i jej mieszkańców niewiele może zrobić. I dlatego sesje GRN są schematycznie wyreżyserowanymi przedstawieniami, na których każde wystąpienie, jeśli przybywa ktoś z województwa, jest starannie przygotowane, adiustowane przez KG partii. Sam byłem świadkiem jak sekretarz KG „adiustował" ustne wystąpienie posła, Barbary Rytych, żeby jakiegoś głupstwa nie palnęła wyborcom. Jeżeli nie ma nikogo z „góry" to na sesji właściwie nic się nie dzieje. Komisje są fikcją, bo cóż np. zdziała członek komisji rozwoju gospodarczego i budżetu, skoro wszystkie pieniądze i to chłopskie, są z góry podzielone. A członek komisji rolnictwa nie nastraszy dyrektora SKR, gdyż tego „ustawić" może tylko WZKR. Mogą więc sobie radni wnosić protesty, skarżyć, pisać protokoły, kontrolować, apelować! Na sesji kilku powie głośno to, o czym myślą skrycie wszyscy, ale nie mówić głośno, że partia wcale nie musi wnikać w sprawy samorządu. Niech partia pomoże im wytępić biurokrację, lenistwo, złodziejstwo i krętactwo pośród tych, co obsługują rolnictwo, a samorządem to oni już sami się zajmą. A jest naprawdę czym. Chociażby taka rada nadzorcza Gminnej Spółdzielni, kontrola społeczna i komitety sklepowe. Członkowie komitetów sklepowych walczą, żeby w sklepie na wsi były proszki do prania i nafta, bo często wyłącza się prąd, ale nikt ich nie słucha. A komisja obrotu rolnego rady nadzorczej, stosownie do pory roku, zajmuje się kontrolą skupu surowców wtórnych, albo oceną plonów zbóż w minionym roku. Nikt z chłopów nie wie, co się w GS dzieje, ponieważ samorząd jest opanowany przez zarząd spółdzielni, a zarząd to przekupieni przez prezesa „kuzyni kuzynów", dla których załatwienie jakiejś sprawy to drobnostka. Jak prezes coś naknoci, jak wyjdą na jaw machlojki, to będąca zwykłą kliką rada nadzorcza jeszcze go broni, gdyż w ten sposób broni własnych interesów. A przecież rada nadzorcza miała występować w obronie interesów chłopskich; miała nie tylko zatwierdzać prezesa, ale także go odwoływać. Tymczasem prezes siedzi na stołku niemal dożywotnio. Wydaje się, że w takiej sytuacji kadencja prezesowska winna trwać przynajmniej trzy lata, żeby nie dochodziło do efekciarstwa, a potem trzeba wnikliwie ocenić działalność prezesa i w tajnym głosowaniu, na walnym zgromadzeniu i z udziałem większości członków spółdzielni, zdecydować, czy prezes może zostać.

Podobna rada nadzorcza istnieje przy Banku Spółdzielczym. Ta organizacja samorządowa miała przede wszystkim decydować, komu przydzielać kredyty. Jakże często jednak zdarzało się, że u jednego chłopa przez trzy lata stały mury obory bez dachu, bo nie było funduszów na wykończenie obiektu, a drugi postawił dom i budynki inwentarskie w ciągu roku. Dlaczego? Trzeba sobie powiedzieć szczerze, że władze w gminie dzieliły rolników na partyjnych i bezpartyjnych, dając tym pierwszym nieuzasadnione przywileje. A więc kto dawał pożyczki: władza czy Bank Spółdzielczy? Władza, ponieważ obok rady nadzorczej Banku Spółdzielczego istniała jeszcze komisja współpracująca z naczelnikiem gminy, który miał głos decydujący przy rozdziale kredytu. Ponadto przepisy bankowe zdecydowanie ograniczały pracę rady. Bank Spółdzielczy był rozliczany za udzielanie kredytów, za ściąganie spłat i działalność prowadzoną w... Szkolnych Kasach Oszczędności. Przy podziale zysku ogromna większość pieniędzy szła na podatek dochodowy. Na działalność społeczno-gospodarczą można było przeznaczyć najwyżej 5 proc. zysku, a na Koła Gospodyń Wiejskich zaledwie 2 proc.

Działające na wsiach spółdzielnie: mleczarską, ogrodniczo-pszczelarską oraz rolniczą spółdzielnię „Samopomoc Chłopska" podłączono do jednego pionu, tworząc na szczeblu wojewódzkim Woj. Zw. Spółdzielczości Rolniczej. W ten sposób producenci pozbawieni zostali samorządności, bo nie mieli swoich przedstawicieli „na górze". I dlatego np. hodowcy bydła mlecznego nigdy nie mogli dojść, jak to się dzieje, że oddają w zlewni wiejskiej mleko o zawartości 4 proc. tłuszczu, a płaci im się za mleko o zawartości 3 proc. tłuszczu. W ramach odnowy spółdzielcy dość szybko zorganizowali się i wystąpili ze wspólnego związku. Miejmy nadzieję, że teraz wszystko szybko wróci do normy i producenci nie będą narażeni na straty.

Ludwik Kempa, sekretarz WK ZSL, przyznaje samokrytycznie, że Stronnictwo nie zawsze występowało aktywnie w obronie interesów swych członków oraz rolników nie zrzeszonych. Były na wsi silne, dobrze zorganizowane związki branżowe producentów rolnych (plantatorzy roślin okopowych, oleistych, tytoniu) oraz hodowców zwierząt (trzoda chlewna, owczarze, drobny inwentarz, drobiarze, itp.). Przed podziałem administracyjnym kraju sekcje branżowe, obejmujące grupy producentów, działały przy kółkach rolniczych. Miały instruktorów w powiecie i w województwie, a także własną księgowość. Później prezes WZKR zaczął rozliczać kierownika związku branżowego. Zabrakło odpowiednich ludzi na szczeblu wojewódzkim i działalność przestała istnieć. Obecnie związki branżowe zaczynają się reaktywować, zarówno w sekcjach podstawowych, jak i na szczeblu gminnym. Ludwik Kempa uważa, iż w województwie (WZKR) można wydzielić osobne konto dla związku branżowego, ale budżet powinni ustalać samorządnie członkowie związku. Na szczeblu wojewódzkim każdy związek powinni reprezentować etatowi specjaliści. Chodzi o to, żeby np. w cukrowniach miał kto prowadzić sprawy plantatorów; żeby ochraniać gniazda zarodowe hodowców i pomagać im osiągać korzystne ceny na aukcjach hodowlanych.

U progu „trzeciej odnowy" najwięcej emocji i kontrowersji wzbudziła sprawa kółek rolniczych. Centralistyczno-nakazowe kierowanie gospodarką okazało się bardzo szkodliwe, sprzeczne z pryncypiami demokracji socjalistycznej: na wsi doprowadziło ono do zamarcia samorządnej organizacji chłopskiej, jaką były posiadające stuletnią tradycję kółka rolnicze. Najliczniejsza grupa zawodowa w Polsce została pozbawiona przedstawicielstwa zwodowego, tak że pod koniec lat osiemdziesiątych nie było nikogo, kto by chronił interesy chłopstwa, strzegł jego praw, a jednocześnie wziął odpowiedzialność za kształt i efekty całej działalności na rzecz potrzeb żywnościowych.

Całą winę za taki stan rzeczy zwala się obecnie na SKR, zwane potocznie Smutnym Końcem Rolnictwa. Ale czy słusznie? Myślę, że problem SKR zasługuje na omówienie w odrębnej publikacji. Dlatego w związku z poruszeniem sprawy samorządu kółkowego, ograniczę się tylko do uogólnień. Otóż wydaje mi się, że SKR jako wytwór pewnego systemu, z góry skazane były na złe gospodarowanie i krytykę społeczną. Wprawdzie dano im namiastkę samorządu w postaci rady nadzorczej, ale rada SKR mogła co najwyżej „powołać" nowego dyrektora, naznaczonego z góry przez WZKR oraz „omówić" wykonanie zadań, opracowane wcześniej przez zarząd. Ponadto dyrektorami zostawali często dobrzy fachowcy, którzy jednak nigdy nie pracowali społecznie, z chłopskim samorządem, toteż nie czuli potrzeby rozwijania samorządu wiejskiego. Bo nie z tego byli rozliczani, tylko z produkcji i usług. A poza tym nie mieli czasu na wspieranie samorządu. SKR miały z początku świadczyć usługi dla rolnictwa, później przyszło zagospodarowywanie ziemi, wreszcie hodowla zwierząt, a nawet... prowadzenie pasiek. Gdyby w SKR nie budowano za ciężkie miliony obór, chlewni i owczarni, które dziś stoją niemal puste, bo nie ma czym karmić zwierząt, gdyż ziemi za mało; gdyby zamiast za hodowlę — SKR wzięły się za produkcję roślinną na przejętej ziemi, miałyby więcej czasu na usługi dla chłopów i nie powodowałyby takich strat.

Anna Stefaniakowa, wiceprezes WZKR w Łodzi, jest dziś trochę rozgoryczona. Zdobyła zawód inżyniera rolnika i przez dwanaście lat pracowała jako agronom na wsi, zakładając Koła Gospodyń Wiejskich i kółka rolnicze. Ludzie wtedy mieli zapał; nie było maszyn, a kółka powstawały. Kółka łączyły się po trzy, tworząc Międzykółkowe Bazy Maszynowe, które zajmowały się głównie naprawą sprzętu. Na zebraniach mówiło się o planach, hodowli, zaopatrzeniu — o wszystkich sprawach wsi, nie tylko o usługach. Kółko reprezentował prezes, zarząd i księgowy. Prezes pełnił jednocześnie rolę dyspozytora i już wtedy nie miał za wiele czasu na działalność społeczną. Zdecydowano, iż prezes powinien funkcjonować oddzielnie, obok dyspozytora. Na początku lat siedemdziesiątych wynikła potrzeba powołania gminnej rady prezesów, którzy by reprezentowali interesy kółek rolniczych w gminie. Do tego jednak nie doszło, ponieważ wraz z podziałem administracyjnym powołano SKR, które miały zająć się kółkami rolniczymi. Teraz na zebraniach poruszano wyłącznie sprawy usług. Ludzie przestali mówić o swoich bolączkach, bo do kogo?

Chłopi także są rozgoryczeni. Przestali być partnerem dla SKR. Zabrano im maszyny i ciągniki, i to szybko, bez pytania, a ich pieniądze wpłacane na Fundusz Rozwoju Rolnictwa (w skali kraju ponad 4 miliardy zł) poszły na łatanie deficytu w gospodarstwach państwowych i uspołecznionych. Ziemię PFZ, dzierżawioną przez chłopów, także zabrały SKR. Wprowadzenie mechanizacji i usług przez SKR miało jednak dobrą stronę: zniknął zwyczaj tzw. odrobku, z maszyn mogli korzystać także chłoporobotnicy.

Czego więc chcą rolnicy? Otóż twierdzą oni, że SKR należy zlikwidować, albo przynajmniej zmniejszyć tam o połowę administrację, bo traktorzyści nie zarabiają na urzędników. Cały Fundusz Rozwoju Rolnictwa winien przejść w ręce kółek rolniczych, one go odpowiednio rozdzielą. Rolnicy chcą też, aby zabrana ziemia wróciła do chłopów na uzupełnienie małych gospodarstw. Uważają, że samorząd powinien decydować, jakie maszyny kupować do SKR. Samorząd powinien mieć także prawo żądać, aby chłopi mogli wykorzystywać zbudowane dużym kosztem wielkie suszarnie i mieszalnie pasz w gospodarstwach państwowych i uspołecznionych.

Pojawiają się żądania ekstremalne, trudne do zrealizowania. Otóż rolnicy są zdania, że skoro kiedyś nazywano ich w SKR pieniaczami, bo za wiele się domagali i wskazywali nadużycia, za co zresztą byli szykanowani, to oni teraz sami sobie poradzą, bez SKR. Chcą tylko, żeby SKR wydała kółkom rolniczym po kilka ciągników z zestawami prostych maszyn. Członkowie kółka, którzy przejmą te maszyny, będą płacić SKR koszty amortyzacji i świadczyć usługi sąsiadom. Jeżeli się nie sprawdzą, zarząd kółka przekaże ciągniki z maszynami innym członkom. W ten sposób SKR będzie mogła zatrudniać mniej traktorzystów, którzy niszczą ciągniki, kradną i robią fuchy, i trzeba im stawiać wódkę, bo inaczej kawałka pola chłopu nie zaorzą. Jeżeli SKR spełni te warunki, to chłopi nie będą się ubiegać o deficytowe ciągniki.

Mam pewne wątpliwości, czy takie drastyczne pociągnięcia załatwią od razu sprawę samorządu wiejskiego.

Nie ulega natomiast wątpliwości, iż samorząd trzeba jak najszybciej wyprowadzić z ciężkiej choroby, w jaką został wpędzony w minionym dziesięcioleciu. Należy przywrócić mu autentyczność, uzasadnić jego wiarygodność i wywalczyć mu prawo partnerstwa, tak żeby sprawy gospodarki ziemią, polityki kredytowej, rozdziału deficytowych środków produkcji czy przydziału rent i emerytur nie były ustalane bez konsultacji i akceptacji zarządów kółek rolniczych.

Uchwała Rady Głównej i Zarządu CZKR z 1 października 1980 roku mówi o konieczności przywrócenia kółkom rolniczym funkcji społeczno-zawodowej organizacji i nadanie jej uprawnień związku zawodowego rolników indywidualnych. Chodzi o to, żeby taka organizacja miała autentyczny wpływ na kształtowanie polityki rolnej i mogła decydować o wysokości cen skupu, cen środków produkcji i usług, a także w ustalaniu zasad systemu kontraktacji i organizacji zbytu płodów rolnych oraz polityki kredytowej, finansowej i podatkowej. Aby jednak wszystkie te zamierzenia zastosować w praktyce, Sejm musi podjąć ustawę o kółkach rolniczych i nadać im taki status, w którym uwzględniono by również sprawy warunków socjalnych, zdrowotnych i kulturalnych oraz problem ochrony środowiska naturalnego.

Nie ulega wątpliwości, że ustawa o samorządzie wiejskim musi być poprzedzona szeroką i wnikliwą konsultacją. Gdybyśmy bowiem chcieli spełnić wszystkie postulaty i zaspokoić wszystkie ambicje, mogłoby ponownie dojść do przerostu administracji. Trzeba na trzeźwo stwierdzić, że w gminach reaktywuje się wiele organizacji spółdzielczych i branżowych (wywieniałem je wyżej), które często się dublują i wcale nie muszą mieć własnych jednostek administracyjnych. Najsensowniejszym przeto wyjściem byłoby powołanie gminnego związku kółek i organizacji rolniczych, w którego radzie zasiadaliby przedstawiciele wszystkich organizacji. Gdyby ten zespół miał silne zaplecze kadrowo-wychowawcze i odpowiednie uprawnienia, samorząd wiejski na pewno spełniłby swoje zadania. Sprawa jest dużej wagi, bo w kraju mamy pół miliona działaczy samorządu wiejskiego, organizacje samorządowo-spółdzielcze zrzeszają dwanaście milionów członków. Chodzi o to, żeby ten utajony przez ostatnie lata ogromny potencjał ludzki w pełni, mądrze, z pożytkiem wykorzystać.

RYSZARD BINKOWSKI

Foto: R. Łucyszyn

# PASJA
# WEDŁUG PREZESA NOWAKA

Dalszy ciąg ze str. 1

trafił tam w listopadzie siedemdziesiątego dziewiątego roku jako prezes Okręgowej Rady Zakładowej Muzyków Rozrywkowych Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki w Łodzi oraz przewodniczący Krajowej (Naczelnej) Rady Muzyków Rozrywkowych z siedzibą w Warszawie.

Zatem chętnie wypił, jak tylko coś podpisał, co samo w sobie nie było przecież żadnym przestępstwem. Podpis się liczy. Dzięki podpisowi wyjeżdżasz za granicę, dzięki podpisowi otrzymujesz chałturę w knajpie, albo pracę w Estradzie. Podpis prezesa sprawiał, że czułeś się nagle artystą, nie znaczy to jednak, że działalność prezesa ograniczała się tylko do podpisów i związaną z nimi daniną wódki.

Dzięki wspomnianym znajomościom Nowak był w stanie robić prawdziwe cuda, jeśli tylko ktoś mu się sprawdził na oko i rokował nadzieje na przyszłość. I tak: rzeźnik zostawał nagle organizatorem, konferansjerem i śpiewakiem, cyrkowiec i traktorzysta otrzymywał uprawnienia estradowca; gość, który nie tylko nie umiał zanucić „Wiazł kotek", żeby nie rąbnąć się ze trzy razy w pierwszej zwrotce, pokazywał raptem opieczętowany papier stwierdzający czarno na białym, iż jest licencyjnym muzykiem, co to wali z talentem w gitarę basową i wyje refreny, a jak trzeba, to palnie nawet coś do śmiechu.

2.

Prezes wyłudził podobno z Warszawy pismo uprawniające go, to znaczy: Okręgową Radę Zakładową Muzyków Rozrywkowych w Łodzi, do organizowania rozmaitych słowno-muzycznych imprez na terenie miasta. Według powszechnej opinii, sam zajął się modyfikacją owego dokumentu dopisując w odpowiednim miejscu na maszynie, iż poza Łodzią wolno mu także upowszechniać godną najwyższego uznania twórczość estradową na terenie całego kraju. Wspominam o tym bez wyrzutów sumienia i lęku przed ewentualną odpowiedzialnością sądową za zniesławienie tak wybitnej jednostki (odznaczonej przecież w swoim czasie Srebrnym Krzyżem Zasługi), jako że — znajdzie się to pismo czy nie znajdzie — wszystkie niemal rejony Polski zostały nawiedzone przez spuszczoną ze smyczy sforę prezesa.

Mówiąc skrótowo: lewym umowom towarzyszyli zazwyczaj fałszywi artyści, reklamowani skądinąd jako himalaje krajowego show-businessu. Wyrwana z kawiarni na zastępstwo, niewykwalifikowana striptiserka, odważnie pokazała ludziom dupsko, prestidigitator wyciągnął zza pazuchy zmaltretowaną gołębicę, trębacz beknął ze trzy razy w trąbkę i forsa sypała się jak z rozprutego banku.

Każdy organizator i nie jeden wykonawca płacili oczywiście prezesowi dolę od swoich wysokich angaży, po łapówkę wyciągała również rękę zorientowana w szwindlach kasjerka i główna księgowa. Nikomu z tego tytułu nie działa się krzywda, bo z prezesem dało się żyć. Prezes miał przecież kapustę (czyli głowę) i jak już coś wymyślił, to daj Boże zdrowie!

Rodzoną córkę na przykład mianował ni mniej ni więcej tylko kierownikiem działu koncertowego tej, wedle statutu, społecznie działającej instytucji.

No i córka nie miała źle. Jak tatuś poszedł siedzieć, to ona pracowała jeszcze kilka miesięcy. Potem wylali ją przez zaskoczenie, tak że nie miała czasu uporządkować i zniszczyć papierów; dzięki temu, siedząc w skromnej siedzibie Rady Okręgowej, mogę podziwiać gruby plik umów (sto kilkadziesiąt egzemplarzy) podpisanych wcześniej, bez daty, przez Nowaka in blanco. Początkowo nie bardzo rozumiem, o co chodzi. Potem dowiaduję się, że ten drugi, nieczytelny podpis należy do szanownej córeczki. O ile jednak podpis tatusia figuruje pod legalną pieczęcią o brzmieniu: PRZEWODNICZĄCY ORZMR ZZPKiS W ŁODZI WŁODZIMIERZ NOWAK, (ZLECENIOBIORCA), o tyle córka wmiksowała się w pieczątkę o brzmieniu: SEKRETARZ ZZ PKiS W ŁODZI JAN BUJAŁA.

—I co na to pan Bujała? — pytam członków nowego zarządu.

— Ano — słyszę — córka Nowaka poprosiła, aby pożyczył jej na trochę pieczątkę, to pożyczył.

— Tak niby z dobrego serca?

— Tak niby.

I tatuś z córeczką natrzaskali sobie na zapas trochę tych niewinnych zleceń, które, gdyby je tylko odpowiednio wypełnić i spotkać odpowiedniego ZLECENIODAWCĘ, mogłyby przeistoczyć się w ciężkie miliony.

Otrzymuję jedną z tych umów na pamiątkę. Przedtem oczywiście została przekreślona i opatrzona adnotacją „anulowano". Gdyby nie ta adnotacja, zaraz bym skumał się z jakimś organizatorem i pojechał w teren, do pierwszej lepszej zamożnej fabryki, aby namówić dyrektora do zawarcia ze mną porozumienia w sprawie występów artystycznych. Gdyby dyrektor był nieuczciwy i odpowiednio bezczelny, występy te wcale nie musiałyby się nawet odbyć. Miałby po prostu podkładkę, że tego to a tego dnia, w ramach akcji upowszechniania kultury, zafundował załodze spektakl muzyczny, na który wydał z odpowiedniego funduszu tyle a tyle tysięcy złotych.

3.

29 września 1980 roku, na fali powszechnej odnowy, liczna, sześćsetosobowa rzesza muzyków łódzkich powiedziała: dość! i wybrano nowy Zarząd Rady Okręgowej. Przewodniczącym został Andrzej Ostruszka, wiceprzewodniczącymi: Jacek Wasilewski (sprawy estradowe) i Janusz Zientara (sprawy socjalne), a sekretarzem — Zbigniew Horyd.

Głównym księgowym jest teraz Tadeusz Gibki.

Wszyscy ci, stosunkowo młodzi ludzie, a także radca prawny Rady Okręgowej, Henryk Leszczyński oraz mój stary znajomy, Waldek Krześniak, biorą udział w rozmowie ze mną. Aby nie było żadnych wątpliwości: Janusz Zientara i Zbigniew Horyd to także moi starzy znajomi; ten ostatni zainteresował mnie zresztą niniejszą sprawą z upoważnienia zarządu.

Nie, naprawdę nie chodzi tutaj o kopanie leżącego, o zemstę nad byłym prezesem Nowakiem. Dziedzictwo jednak, które po nim przejęli, stawia dosłownie włosy na głowie. Chryste Panie, w co te chłopaki się wdali? I w co ja się wdałem. Przecież z tym brudem, od którego nowy zarząd próbuje się uwolnić, nie dałaby sobie rady doborowa ekipa NIK. Szachrajstwo na szachrajstwie, matactwo na matactwie, sto sześćdziesiąt list płacy zginęło bez śladu, a opiewały na grube miliony (niektórzy organizatorzy, zausznicy prezesa zarabiali rocznie po pięćset — siedemset tysięcy złotych, przy czym chodzi tu jedynie o dochody ujawnione), przeciwko Nowakowi wytoczono, jak dotąd, sto siedem spraw, ale zarówno główny księgowy jak i pracujący do niedawna społecznie (trzeba było wciągnąć go na ryczałt) radca prawny nie mogą przewidzieć, czy tych spraw nie będzie w sumie dwieście siedem: płyną lawą, z całej Polski, z gór, znad morza, z jezior, lasów. Afera trafiła już na łamy tygodników: „Walka Młodych", „Kujawy"... Te ostatnie zainteresowały się prezesem, ponieważ aresztowano go właśnie w Toruniu. Czytamy (22 października 1980 roku):

„Według przeprowadzonych przez toruński Okręgowy Zarząd Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej badań w zakresie prawidłowości zawierania i realizacji umów na imprezy rozrywkowe, organizowane w 201 jednostkach uspołecznionych, wypłaciły one Okręgowej Radzie Zakładowej Muzyków Rozrywkowych w Ł. kwotę ponad 53 mln zł (już w tym momencie człowiek łapie się za głowę!). W 95 proc. kontrolowanych jednostek stwierdzono nieprawidłowe wypłaty wynagrodzeń na łączną kwotę 9.885 tys. zł. Tutaj skupiliśmy się tylko na działalności owej swoistej związkowej instytucji na terenie woj. toruńskiego, a właściwie Grudziądza. Jest to jednak tylko część sprawy i należy sądzić, że temat podejmą inne prokuratury w województwach, gdzie agenci przewodniczącego N. sprzedawali ludziom rozrywkę. Dbali, żeby ludzie mieli zabawę, nie tylko troski. Teraz zabawa przeniosła się do Sądu Rejonowego w Grudziądzu".

W związku z powyższym bankowe, prawie dziewięciomilionowe konto Rady Okręgowej, zostało zamrożone. Zarząd i główny księgowy nie są wcale pewni, czy tego funduszu nie stracą bezpowrotnie, ba! nie mogą mieć również żadnej pewności, czy wyroki sądowe nie zmuszą ich do zapłacenia odszkodowań w sumie czternastu albo nawet piętnastu milionów. Cała nadzieja w radcy prawnym, wygrał już cztery procesy. Tu jednak nasuwa się uwaga, czy wygrywając procesy, nie broni się pośrednio prezesa Nowaka.

— Ano, broni się — przyznaje radca prawny.

— Więc coś w tym wszystkim — mówię — jest nie w porządku.

Zarząd twierdzi wszelako, że musi bronić funduszu, który skądinąd, można było również wypracować w sposób legalny. Bo przecież ten fundusz w rękach uczciwych ludzi mógłby pięknie całemu środowisku zaprocentować. Można by wyremontować jakże skromny i zaniedbany lokal, można by zbudować Dom Spokojnej Starości dla muzyków, którzy przeszli na emeryturę i pozbawieni są jakiejkolwiek opieki, można by pomóc najuboższym, można by zorganizować kursy dokształcające dla tych wszystkich, którzy chcą podnieść swoje kwalifikacje zawodowe.

Muzycy rozrywkowi, zwani także muzykami gastronomicznymi, mają głębokie i słuszne poczucie krzywdy. Są wśród nich, tak jak i w każdym środowisku, parszywe owce, są jednostki, które zarabiają kokosy, jednakże ogromna większość zarabia kiepsko, pracując nocą, w dusznych i zadymionych salach, w napiętej atmosferze, która w każdej chwili grozi awanturą lub bójką.

Na całym świecie status muzyka lokalowego jest wysoki. To właśnie w barach i restauracjach grały najgłośniejsze sławy amerykańskiego jazzu. Kilka dobrych orkiestr tanecznych potrafi dać miastu całą masę radości, jeśli tych orkiestr jest kilkadziesiąt, zmienia się wieczorami charakter najsmutniejszej i najbrzydszej aglomeracji. Żadna muzyka mechaniczna nie jest w stanie zastąpić żywego zespołu.

Szkoda, że nie rozumieją tego odpowiednie władze, że nasza zgangrenowana i skorumpowana gastronomia traktuje muzyków jako zło konieczne. Nie chcę jednak rozwijać w tym miejscu wszystkich licznych i dręczących problemów środowiska muzycznego. Zrobię to w kolejnej publikacji, teraz natomiast powrócę do sprawy Nowaka, aby zarówno ja, jak i łódzcy muzycy, mieli już ją raz na zawsze za sobą.

4.

Prezes Nowak nie pogardził chałturką w knajpie czy na weselu. Nadziany forsą i dobrami nie był również przeciwny owym skromnym, muzycznym dochodom. Ktoś by powiedział przy okazji: od przybytku głowa nie boli; demokrata, brat — łata, coś niby miniatura prezydenta — elekta Stanów Zjednoczonych, którego wielu z nas, nie pamiętając o tym, podziwiało na ekranie, choćby w ostatniej swojej epizodycznej roli na podstawie opowiadania E. Hemingway'a „Zabójcy".

Wszystko, co związane z muzyką, nie jest mi obce — zdawało się głosić credo prezesa Nowaka. — Wolę jednak stać niż iść, siedzieć niż stać, leżeć niż siedzieć.

Wysłał zatem pan Nowak orkiestrę emerytów w czynie społecznym do Kalisza. Orkiestra przykosiła lekko, na pół gazu, wniebowzięty dyrektor postanowił, iż w tej konkretnej sytuacji Fabryka Fortepianów powinna również wykazać się szerokim gestem i Rada Okręgowa Muzyków Rozrywkowych w Łodzi obdarowana została pianinem z renowacji. Niech tam wstawią sobie to pianino do Domu Starców, albo jakiejś świetlicy, niech im służy — pomyślał dyrektor i wedle opieczętowanego dokumentu przekazał Radzie instrument, odebrany, według pisma z dnia 9.XII. 1980 r. (które jest w posiadaniu Prokuratury dla Dzielnicy Łódź — Śródmieście) przez obywatela Władysława Binio dnia 17.IX. 1979 roku.

Teraz, aby nie narażać się niepotrzebnie, zacytuję pismo, które rada skierowała do kompetentnych władz. Otóż: Fabryka Fortepianów dotrzymała zobowiązania i poprosiła listownie Radę Okręgową Muzyków Rozrywkowych w Łodzi o potwierdzenie otrzymania pianina N-105 Nocturn nr 59643 dnia 17.IX. 1979 r.

„Powyższe pismo z dnia 14.V.1980 roku Kaliskiej Fabryki Fortepianów i Pianin nie dotarło do rąk członków obecnego Zarządu Okręgowej Rady Zakładowej Muzyków Rozrywkowych w Łodzi, prawdopodobnie z tej przyczyny, iż w owym czasie pracowała w ORZMR w Łodzi córka byłego przewodniczącego ob. Włodzimierza Nowaka, ob. Anna Nowak, która mogła przechwycić to pismo. Okręgowej Radzie Muzyków Rozrywkowych w Łodzi nie jest znane żadne Ognisko Muzyczne w Łodzi, ani też nie jest znany ob. Władysław Binio, który na podstawie upoważnienia nr 63/012/79 z 15.IX.1979 r., podpisanego przez ob. Włodzimierza Nowaka, pobrał z w/w fabryki przedmiotowe pianino, należne jako dar dla okręgowej Rady Zakładowej Muzyków Rozrywkowych w Łodzi".

I znowu cała fura niedomówień. Prawo jest prawem, trzeba być ostrożnym. Ja jednakże, w imię dobrze pojętych interesów, powtórnie pozwolę sobie przytoczyć plotkę. Więc: pianino nie mogło trafić do żadnego Ogniska Muzycznego czy też innej instytucji kulturalnej w Łodzi, bowiem trafiło do prywatnego domu prezesa na działce w Inowłodzu. W chwili, kiedy wokół prezesa zaczął się szum, pianino zostało przekazane dalej, może do jakiegoś prowincjonalnego Domu Kultury a może do Klubu Ruchu. Tak czy owak, po pianinie zniknął wszelki ślad, podobnie jak w tym kraju zginął cały szereg innych ważkich dowodów przeciwko różnym ważnym osobistościom.

A teraz — w imię Ojca, Ducha i Syna! Pora na bliskie mojemu sercu radio. Otóż prezes, kradnąc, gmatwając, fałszując i oszukując, nie był bynajmniej wyzuty z ambicji twórczych. Kompozytor! Mam przed sobą kilka wydrukowanych przez ZAIKS utworów muzycznych, których nie odtworzyłby bez rumieńca wstydu żaden szanujący się instrumentalista. Ale w Polsce kompozytor nie musi być grany, aby brać za swoją spartoloną twórczość pieniądze, i to ciężkie pieniądze. Wystarczy trzymać sztamę z kierownikami orkiestr, odpalić im trochę, a oni wówczas umieszczą twoje nazwisko i kilkanaście twoich utworów-potworków na wysłanym do ZAIKS wykazie repertuarowym, co automatycznie powiększy twoje konto.

Kierownicy orkiestr nie są zresztą jedynymi osobami, które mają prawo wysyłać takie wykazy do ZAIKS. Zatem kompozytor Nowak, wraz ze swoim współpracownikiem i kamratem, kompozytorem Puckiem, zaproponowali pracownikom Łódzkiej Rozgłośni Radiowej, aby ci ostatni nagrali kilka ich utworów. Radio, oczywiście, miało pewne obiekcje, bo to i słowa okropne, i muzyka tandetna, wstyd skierować coś takiego na antenę. Nowak z Puckiem wyjaśnili jednak, że sprawa upowszechnienia utworów (nikt zresztą dokładnie nie wie, czy były upowszechnione) jest kwestią drugorzędną. Najważniejsze, żeby był ślad, taśmy, dowód, że zostały nagrane. Najważniejsze, żeby powiadomić o tym doniosłym wydarzeniu ZAIKS. A że sprawa musi kosztować, to już oni, Nowak z Puckiem, dobrze wiedzą. No i Rada Okręgowa za nagranie trzech piosenek swoich szefów, wypłaciła Łódzkiemu Radiu trzydzieści tysięcy złotych.

Działo się to wszystko w socjalistycznym kraju, pod okiem socjalistycznych władz. Parę pozbawionych skrupułów i litości hien żerowało na ubogim muzycznym środowisku w ramach tak zwanego związku zawodowego. Nawiasem mówiąc: muzycy rozrywkowi są jedną z nielicznych grup społecznych, których nie objęły ostatnio żadne podwyżki. Trudno się temu dziwić. Działacze myśleli przede wszystkim o sobie i, na ironię losu, otrzymywali za to odznaczenia. Pasje prezesa Nowaka ukoronowane zostały Srebrnym Krzyżem Zasługi.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## LISTY DO REDAKCJI

### „PIĘCIOKĄT C.D."

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

W ślad za opublikowaniem przeze mnie w 50 numerze „Odgłosów" z ubiegłego roku listem będącym odpowiedzią na wcześniejsze enuncjacje mgr Tadeusza Pliszkiewicza dyr. Teatru im. J. Tuwima, pragnę poinformować, że na skutek jego skargi stanąłem przed Sądem Koleżeńskim Stowarzyszenia Artystów Teatru i Filmu Oddziału Łódzkiego.

Długo i poważnie wahałem się przy orzeczenie sądu podać do wiadomości publicznej, co u niedostatecznie zorientowanych w środowisku aktorskim mogło nawet wywołać wrażenie jakobym chciał coś ukryć przed opinią publiczną.

Zobligowany tymi względami, a także świadom tego, że orzeczenie Sądu Koleżeńskiego ma bezpośredni związek z wydarzeniami krośnieńskimi przedstawionymi w „Odgłosach" w artykule interwencyjnym red. Konrada Frejdlicha pt. „Pięciokąt", zdecydowałem się ogłosić sentencję orzeczenia Sądu Koleżeńskiego w przeświadczeniu, że opinia tego gremium o najwyższym autorytecie moralnym w środowisku aktorskim rzuci snop światła na sprawy etyki zawodowej tak istotnej w naszej trudnej i odpowiedzialnej profesji.

Dlatego też proszę Szanownego Pana Redaktora o opublikowanie sentencji Sądu Koleżeńskiego.

MIECZYSŁAW SZARGAN

* * *

Sąd Koleżeński przy Zarządzie Oddziału SPATiF-ZASP w Łodzi w osobach: przewodniczący: Hanna Małkowska, sekretarz: Witold Jawia, członkowie: Antoni Majak i Stanisław Kwaśniak po zapoznaniu się z następującymi dokumentami: protokółem z przedstawienia z dn. 28. VI. 80 r., protokółem z Krosna z 28. VI. 80 r., oświadczeniem realizatora Adama Łukasika i z protokółem z otwartego zebrania pracowników Teatru im. J. Tuwima z 26. IX. 80 r. rozważył wszystkie okoliczności powstałego konfliktu. Z dokumentów wynika, iż początkiem zadrażnienia było wyznaczenie zespołowi kary uwidocznionej w raporcie. Biorąc pod uwagę protokół z Krosna z dn. 28. VI. 80 r. z podpisami wychowawców oraz oświadczenie autora do jakiego widza adresował swą sztukę, możemy zrozumieć wzburzenie aktorów, przekonanych o słuszności swej postawy.

Protokóły z zebrania z dn. 26. IX 80 r wskazują na to, iż zebranie było burzliwe i w tej atmosferze emocjonalnej padły sformułowania zbyt gwałtowne. Jednakże z protokółu z dn. 26. IX. 80 r. wynika, że z tego przedstawienia w Krośnie został zrobiony jakiś drugi raport podobno z jakimiś zmianami. Sąd prosił o udostępnienie tego zmienionego raportu — jednakże nie został sądowi przedstawiony. Ta okoliczność nie pozwala sądowi jednoznacznie stwierdzić, że zarzuty jakoby ów raport ze zmianami był niezgodny z przebiegiem wypadków — są kompletnie bezpodstawne. Wobec powyższych wątpliwości Sąd Koleżeński postanawia oddalić skargę kolegi Pliszkiewicza.

Po zapoznaniu się z obszernym materiałem dostarczonym przez obydwie strony, sąd mając na uwadze etyczną stronę naszego zawodu, czuje się w obowiązku wyrazić swoją dezaprobatę, co do sposobu zorganizowania widowni w Krośnie dn. 28. VI. 80 r.

(następują podpisy członków Sądu Koleżeńskiego)

### „SĄ! WŚRÓD! NAS!"

PAN RED.
ANDRZEJ MAKOWIECKI

Wielce Szanowny Panie!

Żaden z krajowych dziennikarzy nie napisał tak pięknego i prawdziwego reportażu z uroczystości poświęconych odsłonięciu pomnika w Gdańsku i Gdyni — jak Pan to uczynił („Odgłosy" nr 1/81). Nawet miejscowi dziennikarze z Gdańska i Gdyni nie potrafili oddać atmosfery tego pamiętnego wieczoru 16.XII i wczesnego ranka 17.XII. Moje wyrazy uznania. Byłem świadkiem tych uroczystości. Zawdzięczam ten fakt zaproszeniu, które przesłał dla mnie p. Stefan Ast, gdańszczanin, b. więzień obozu Stutthoff (nr obozowy 365) Wraz ze mną był łodzianin, p. Ryszard Duzik najmłodszy obrońca Westerplatte.

P Stefan Ast na tę uroczystość ubrał się w autentyczny pasiak obozowy, miał również sztandar, który szyty był w obozie, a godło haftowały więźniarki Ravensbruck. Nasza grupa liczyła około 20 osób. Zostaliśmy wprowadzeni grupą na wyznaczone miejsce. W grupie tej był legendary d-ca oddziału partyzanckiego „Wicher" — kpt. AK, Witold Kucharski (działał na terenach Ziemi Łódzkiej)

Byłem na odsłonięciu Pomnika Obrońców Westerplatte sprowadzenia prochów mjr H. Sucharskiego i wielu patriotycznych uroczystościach Ta grudniowa uroczystość, pozostanie na zawsze w mojej pamięci Utrwalona jest na taśmie magnetofonowej. Nazajutrz, 17.XII. piękna, słoneczna pogoda. Tysiące ludzi wokół Pomnika Obrońców Ludzkiej Godności. Kwiaty, wiązanki, warty honorowe. Zrobiłem wiele fotografii, z chwilą ich wykonania prześle Panu na pamiątkę kilka zdjęć.

Prasę z dnia 13.XII.—18 XII. przywiozłem. Gdyby brakował Panu któryś z numerów, proszę dać znać. Chętnie Panu odstąpię. Chciałbym kolegom z Gdańska przesłać na pamiątkę 1 egz. „Odgłosów" (nr 1/81) niestety, sam zdobyłem jeden egzemplarz. A to już pamiątka. Raz jeszcze gratuluję Panu reportażu „Są! wśród nas!".

Z noworocznym, przyjaznym pozdrowieniem pozostaje
JACEK ŻEBROWSKI

### „CZY TO NIE JEST DZIWNE"

Wiele artykułów napisano na temat propagandowych metod hitlerowskich Niemiec, kierowanych przeciw Polsce, ale o jednej, może nawet drobnej warto przypomnieć. Była to audycja nadawana przez „Radio Breslau" (Wrocław) pod tytułem „Czy to nie jest dziwne".

Jednym z przytoczonych wydarzeń miała być rzekoma akcja zbrojna przygranicznych chłopów polskich, którzy wtargnęli na terytorium hitlerowskich Niemiec. Zostali jednak wszyscy zatrzymani przez niemiecki Wehrmacht. Audycję zakończono słowami: „czy to nie jest dziwne". Przytaczano także wiele innych absurdalnych wydarzeń, których już nie pamiętam, a które kończono zawsze słowami: „czy to nie jest dziwne".

Niemcy zaniechali jednak tych audycji w 1943 roku, kiedy nie było to wcale dziwne, gdyż byli w odwrocie na całej linii wschodniego frontu. A właśnie wtedy były powody, aby zapytywać: „czy to nie jest dziwne".

Na przykład, kiedy niszczyli broniącą się Warszawę. Albo kiedy Wojsko Polskie u boku Armii Radzieckiej wkraczało do Berlina. „Czy to nie było dziwne"? Dla Niemców.

Wspominam tę niemiecką audycję po tylu latach, bo wydaje mi się, że na ten temat mało u nas pisano.

Z. TRACHIMOWICZ
Łódź

# BUNT PÓŁPRODUKTÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

Kiedy w przyspieszonym o dzień terminie doszło do tego spotkania, studenci mieli już za sobą noc spędzoną w gmachu przy ul. Składowej. Dotąd panował spokój, zajęcia odbywały się normalnie i tylko flagi i hasła sygnalizowały, że w środku dzieje się coś niezwykłego.

Obrady na prawie miały dramatyczny przebieg i „haniebny koniec", jak określił jeden z obserwujących je studentów.

Z początku miało to być spotkanie jednego wydziału. Ale studenci prawa przygotowali dwie listy postulatów: odrębna dotyczyła spraw całej uczelni. Dlatego na spotkanie przyszli również studenci z innych wydziałów. Część z nich nie wytrzymała w roli biernych obserwatorów, a pozbawiona głosu i niezadowolona z przebiegu obrad wyraziła „wotum nieufności" dla studenckiej komisji (w jej składzie była także trójka ekspertów) i — opuściła salę. Studenci zdążyli jednak umówić się z — uczestniczącym w pertraktacjach — rektorem na spotkanie w sobotę, 10 stycznia. Miała być wtedy mowa o postulatach studentów całego UŁ.

Dalszy rozwój wypadków świadczy jednak, że albo słowo rektora to było już za mało, albo też zbyt gwałtownie wylała się w tej samej chwili fala zniecierpliwienia i goryczy.

Prawdopodobnie obie rzeczy nałożyły się na siebie. Fala ta bowiem rosła już wystarczająco długo, podsycana ostatnio przez brak wieści o składanych przez młodzież listach postulatów. Tak było na prawie, czy na Wydziale Filologicznym, gdzie jeszcze w końcu listopada Rada Wydziału przedyskutowała i zatwierdziła większość postulatów i przesłała je rektorowi, u którego utknęły. Gdzie indziej było jeszcze gorzej. Np. na etnografii żądań studentów nie potraktowano poważnie. Wokół szalała Odnowa, a tu życie szło starym torem.

Jedynym posunięciem władz, o którym coś wiadomo, było powołanie Komisji do Spraw Modelu Uniwersytetu Łódzkiego. Ale już o przebiegu i wynikach jej prac studenci nic nie słyszeli. W jednej z ulotek napisali natomiast:

„Od początku listopada staramy się o wprowadzenie zmian w tych głównych kierunkach: regulamin, program studiów, zatrudnienie. ANI JEDEN NASZ POSTULAT NIE ZOSTAŁ ZREALIZOWANY". Inicjatorem tych starań było Niezależne Zrzeszenie Studentów (skupiające w styczniu br. ok. 15 proc. ogółu uczących się). Do tworzonych z inicjatywy NZS na poszczególnych wydziałach Studenckich Komitetów Jedności wchodzili jednak także członkowie SZSP i nie zrzeszeni (których na UŁ jest większość). Była to pierwsza próba porozumienia — zaczątek reprezentatywnego samorządu, o którego utworzenie daremnie zabiegały od jesieni ub. r. władze UŁ. Samorząd ten miał dojrzeć i okrzepnąć dopiero w ogniu wspólnego protestu.

Oliwy do tego ognia dolał podpisany 7 stycznia na prawie „protokół uzgodnień". Przybliżył on wprawdzie terminy załatwiania różnych spraw wydziałowych, zniósł — dla całej uczelni — egzamin z PNP, dał gwarancje partnerskiego traktowania NZS przez władze, ale w innych kwestiach dotyczących całego uniwersytetu był daleki od kompletności i mało konkretny. Stwierdzili to studenci różnych wydziałów, którzy zebrali się wieczorem w gmachu filologii...

**— Dowiedzieliśmy się, że prorektor Krzemiński stwierdził na prawie, że nic nie wie o postulatach studentów filologii.** — relacjonuje Marzena Rybicka z IV r. anglistyki. — **Zrobiło się gorąco. Były przemówienia, z których nic nie wynikało, ludzie szli do drzwi i wracali. Nie wiedzieli co robić. Wszystko wisiało na włosku. Część chciała czekać do soboty. Mimo wahań, podjęliśmy akcję studentów prawa, rozszerzając ją na całą uczelnię...**

Jeszcze tego samego wieczora protest studentów poparli uczestnicy konferencji „Solidarności" Wydziału Filologicznego, a po nich Tymczasowy Zarząd Uczelniany tego związku. Następnego dnia — 8 stycznia — proklamowali „Solidarne Czekanie" studenci Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego, a 10 stycznia — Filozoficzno-Historycznego.

2

Nie przypadkiem więc wśród haseł i flag, którymi jeszcze tej samej nocy rozkwitł fronton gmachu przy al. Kościuszki 65, centralne miejsce zajął transparent krzyczący:

CZEKAMY NA ODNOWĘ W UŁ!

Ale opieszałość władz nie wyczerpuje odpowiedzi na pytanie o genezę buntu, który u progu nowego roku wyrwał uniwersytet z letargu. Głębsze przyczyny wyjaśniają sami studenci i malowane przez nich plakaty. W ich ostrej, bulwersującej przechodniów treści znalazły wyraz nie spełnione pragnienia i zawiedzione nadzieje wielu roczników studentów, w metaforycznej formie streściły się powracające od lat bóle i rozterki...

STRUKTURY DLA CZŁOWIEKA CZY CZŁOWIEK DLA STRUKTUR?

(Paryż 68, Teatr Odeon)

UNIWERSYTET TO NIE SZKOŁA ZAWODOWA PRZEMYSŁU HUMANISTYCZNEGO!

NIE CHCEMY BYĆ PÓŁPRODUKTAMI INTELEKTUALNYMI!

NIE CHCEMY TAŚMOWEJ PRODUKCJI MAGISTRÓW!

ŻĄDAMY AUTONOMII!!!

Od czego więc trzeba by zacząć? Zapytani studenci są zaskakująco jednomyślni: dopóki nie przywróci się 5 lat nauki, nie będzie czasu na prawdziwe, pełne studia, a uniwersytet pozostanie „szkółką".

4-letni tok studiów wprowadzono w 1972 roku. Z jednej strony ograniczył on liczbę przedmiotów, z drugiej spowodował natłok zajęć i nadmierne obciążenie studentów. Dziesięć godzin dziennie, a czterdzieści tygodniowo stało się normą.

Mimo istnienia SZSP „szary" student nie miał poczucia, iż w jakiś sposób pozwolono mu wpływać na kształt modelu uczelni, czy nawet tylko swoich studiów. Reprezentacja studencka w organach kolegialnych uczelni była symboliczna (np. w Senacie — 3 osoby) i z reguły bierna. Studenci pozbawieni byli prawa do oceniania sposobu prowadzenia zajęć. Nie brali udziału w opracowywaniu aktów prawnych dotyczących uczelni. Ich głos nie liczył się, albo w małym stopniu. Partnerem dla władz resortu i uczelni nie był nawet — wbrew oficjalnym deklaracjom — SZSP.

Wszystkie te sprawy — przypomniałem małą ich część — znalazły się na listach studenckich postulatów. Także na pierwszej, ogólnouczelnianej liście, opracowanej przez 28-osobową komisję, złożoną z delegatów wszystkich wydziałów Uniwersytetu Łódzkiego. 56-punktowy wybór z tych postulatów miał służyć do rozmów z władzami UŁ. Osobną, 13-punktową listę stworzyły tzw. postulaty ogólnokrajowe. Rozwój wypadków na UŁ stopniowo modyfikował tę listę. W mej relacji wrócę do niej później.

3

Gdy Międzywydziałowy Komitet Jedności w olbrzymim tempie — w ciągu dwóch dni i dwóch nocy — pracuje nad postulatami, zainicjowana na prawie akcja rozszerza się. Centralnym miejscem „Solidarnego Czekania" staje się gmach mieszczący Instytuty Filologii Polskiej i Angielskiej oraz dziekanat Wydz. Filologicznego przy al. Kościuszki 65.

W piątek, 9 stycznia, wejście na schody do Instytutu broni bariera z ławek. Około dwudziestej — po zakończeniu zajęć — przed zaimprowizowaną tu recepcją ustawia się kolejka amatorów spędzenia nocy w budynku Uniwersytetu. Są z różnych kierunków. Ich legitymacje sprawdza się skrupulatnie, a nazwiska wpisuje na listę.

Pierwszej nocy — z 7 na 8 stycznia — w gmachu na Kościuszki czekało 180 osób, drugiej — już trzysta. Kiedy trzeciej nocy towarzyszę studentom, jest ich 320. Ale rekord padnie w dzień i noc pertraktacji, gdy aulę i korytarze wypełni przeszło 600 studentów.

W gmachu filologii nie ma stołówki, a bufet czynny jest do piętnastej. Podczas „Czekania" działał jednak prowizoryczny punkt z napojami, a raz do drugiej dyżurował bufet. Którejś nocy kelnerzy ze „Światowida" przynieśli... wazę zupy ogórkowej i zaproszenie na parę gratisowych obiadów. Później, gdy protest przybierze ostrzejszą formę, podobnych przypadków spontanicznego wspierania studentów będzie coraz więcej.

4

W sobotę, 10 stycznia o szóstej nad ranem kończy pracę komisja postulatowa. W południe lista trafia na biurko rektora. Czasu na ich przejrzenie ma już niewiele.

O czternastej w auli na Kościuszki zaczynają się rozmowy studentów z władzami uczelni. W delegacji UŁ bierze udział rektor prof. dr hab. Romuald Skowroński, trzej prorektorzy, pięciu dziekanów i jeden prodziekan, członek komisji d.s. ustawy o szkolnictwie wyższym i ekspert d.s. wojskowych. 8-osobowej komisji studenckiej przewodniczy Wojciech Walczak — student III r. psychologii, rocznik 1959.

Więc zaczyna się od niemiłego incydentu z dziennikarzami, którzy nie zostają wpuszczeni na salę obrad; urażeni w większości opuszczają gmach. Kiedy Biuro Prasowe SKJ złoży przepraszające oświadczenie i rozstanie się z inicjatorem „zgrzytu", będzie już za późno; niektórzy dziennikarze w notatkach na łamach swych gazet odnotują afront...

**— Bardzo się cieszę, że mamy okazję spotkać się z wami. Długo na to czekaliśmy** — na takie powitalne dictum prof. Skowrońskiego aula wybucha śmiechem. Podobnie: oklaskami, głośnymi komentarzami, protestami i śmiechem reagować będą studenci w trakcie obrad, z zainteresowaniem łowiąc dźwięki dobiegające z głośnikowych kolumn.

Pierwsze brawa otrzymuje również rektor za szybką decyzję w sprawie postulatu dotyczącego wybieralności władz uczelni. Ale dyskusja grzęźnie już w punkcie drugim. Mówi on o wprowadzeniu do organów kolegialnych poszerzonej reprezentacji studentów i młodych pracowników nauki w ilości 1/3 obecnego składu senatu dla każdej z tych grup oddzielnie. Gdy w końcu rektor zobowiązuje się wnieść i osobiście poprzeć wniosek studentów na forum Senatu, przyśpiesza termin najbliższego posiedzenia i zgadza się na dodatkowy udział 10-osobowej delegacji studentów, za oknem jest już ciemno.

Popołudniowa tura rozmów przynosi jednak porozumienie w różnych innych ważnych kwestiach, choćby dotyczących przekazania wszystkich spraw programowych przez rektora radom wydziałów i instytutów, swobody wyboru pracy magisterskiej, seminariów i specjalizacji, zagwarantowania możliwości ocen zajęć przez studentów na radach wydziałów, inicjowania pozaprogramowych zajęć fakultatywnych, włączenia studentów do komisji rozpatrującej sprawy usuniętych z UŁ z powodów politycznych pracowników i in.

Studenci otrzymują również zapewnienie, że od 1 lutego będą mieli swobodny dostęp do prohibitów w bibliotekach UŁ. Cofa się także ograniczenia w studiowaniu (równoległym) innych fakultetów i w podejmowaniu indywidualnego toku studiów. Istotnym novum, bodaj w skali kraju, jest punkt, w którym studenci „żądają zapewnienia studentom wierzącym zorganizowanym w duszpasterstwach akademickich, grupach oazowych, oraz innych ruchach religijnych, swobodnego prowadzenia działalności na uczelni".

Postulat ten — poparty dodatkowym oświadczeniem grupy studentów wierzących, w którym domagają się oni dla wspomnianych działań „pełnego prawa obywatelstwa" — uzyskuje zgodę władz. Ale mimo tych uzgodnień w szóstej godzinie obrad nad pertraktującymi gromadzą się chmury... Część studentów w auli nie ukrywa zniecierpliwienia: w zbyt wielu bowiem punktach pozytywne załatwienie spraw przekracza kompetencje rektora, który deklaruje jedynie swoje poparcie.

W czasie przerwy pada wniosek o przedłużenie akcji protestacyjnej do chwili przybycia kompetentnej „komisji rządowej", bez względu na wynik dzisiejszych obrad. Propozycja wywołuje napięcie i zdenerwowanie wśród członków komisji. Władze nie kryją zaskoczenia i irytacji.

**— Jeżeli otrzymam zapewnienie, że jak załatwimy wewnętrzne sprawy uczelni, to przerwiecie akcję — zwrócę się do ministra** — stawia warunek rektor. Otrzymawszy to zapewnienie, wychodzi do telefonu. Odpowiedź jest wkrótce: 12 stycznia min. Janusz Górski oczekuje delegacji studentów.

Konflikt zostaje zażegnany, ale dyskusja przeciąga się do późna w nocy. O trzeciej ożywienie wywoła pojawienie się studenckiej komisji. Przedstawione przez W. Walczaka stanowisko: rozmowy z ministrem powinny odbyć się na UŁ! — znów wywołuje brawa... O 4.30 słuchamy ostatniej wymiany zdań...

Rektor: — **W naszym odczuciu „Solidarne Czekanie" nie miało znaczenia. Bo po pierwsze, umówiliśmy się przecież na spotkanie, dałem słowo. A po drugie, nie mieliście wystarczająco dużo czasu na przygotowanie postulatów. Szczęśliwie skończyło się tak, że zgodziliśmy się z nimi. Nie widzę jednak celowości kontynuowania akcji.**

Innego zdania jest Studencki Komitet Jedności. Do czasu przyjazdu resortowej komisji na wszystkich wydziałach powstaną komitety gotowości protestacyjnej. Ich celem będzie „zademonstrowanie woli studentów przeprowadzenia rozmów z ministrem". W razie nie przybycia komitety te przekształcą się w strajkowe.

O piątej nad ranem podpisaniem wspólnego komunikatu (liczącego 55 punktów) kończy się trwające cztery dni i noce „Solidarne Czekanie". Komunikat dotyczy wielu spraw: strukturalnych, programowych, organizacyjnych, socjalno-bytowych, budżetowych. Określa tryb i termin załatwiania tych postulatów, które leżą w możliwościach władz uczelni. W szeregu punktach porozumienie wychodzi poza obowiązujące przepisy i uprawnienia rektora, czego zresztą nie omieszkają mu później wytknąć ci, do których należy realizacja postanowień.

Ale dla życia Uniwersytetu Łódzkiego jest to dokument historyczny. Zrodzony w niecodziennych warunkach, po 15-godzinnych debatach, pod szczególną presją Chwili... Obie strony wkrótce potem nazwą go „sukcesem": będzie to w momencie, gdy nowe, jeszcze bardziej dramatyczne wydarzenia zmienią nieco perspektywę oceny rodzącego się w takich bólach porozumienia między studentami, a władzami uczelni. Będzie to ocena bardziej obiektywna, sprawiedliwsza, chętniej dostrzegająca ową bliskość i wspólnotę interesów łączącą mimo wszystko obie strony, którym przyszło współdziałać pod jednym dachem.

Tymczasem bowiem — jesteśmy wciąż w pierwszych tygodniach stycznia — nawet po podpisaniu porozumienia spokój na UŁ jest pozorny. Mimo obietnic powstrzymywania „dzikich" protestów, nie udaje się zapobiec strajkowi ostrzegawczemu, który w niedzielę, 11 stycznia o piętnastej ogłaszają studenci Wydziału Matematyczno-Fizyczno-Chemicznego. Tu zresztą od początków „Czekania" na innych wydziałach, trwała „gotowość strajkowa". Teraz zajęcia zostają przerwane, a okupowany jest budynek Matematyki; w niedzielę wieczorem odbywa się tu msza święta.

Strajk nie jest zresztą akcją przeciw porozumieniu, lecz formą nacisku na ministerstwo, żądaniem kontynuacji procesu reformy UŁ. Trwa do poniedziałku wieczór. Nie ma potrzeby przedłużania go. 4-osobowa delegacja studentów przywozi bowiem z Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki zgodę na propozycję podjęcia rozmów w UŁ. Wiadomo już, że będzie to precedens. A także i to, że nawet w tej chwili łódzcy studenci mają najbardziej wielostronnie opracowaną listę postulatów. Niemniej trwać będą intensywne prace w pięciu podkomisjach problemowych SKJ, rozszerzające i doskonalące tę listę.

5

W tydzień później, 19 stycznia przy długim stole zbiera się na swym nadzwyczajnym posiedzeniu Senat UŁ. Na wyniki jego obrad czekają niecierpliwie studenci, dla których decyzja będzie — jak to ktoś określił — „papierkiem lakmusowym wiarygodności" najwyższej władzy Uniwersytetu.

Głównym punktem jest bowiem dyskusja nad studenckim wnioskiem o rozszerzenie składu senatu o przedstawicieli studentów i młodszych pracowników nauki o 1/3 obecnego składu (dla obu tych grup oddzielnie).

Dyskusja trwa 4 godziny. Rozmaitym argumentom członków Senatu studenci z 10-osobowej delegacji przeciwstawiają ideę zrównania w prawach wszystkich trzech grup (samodzielni, niesamodzielni pracownicy naukowi, studenci), mogących mieć wpływ na kształt uczelni. Takie zrównanie — zdaniem studentów — stanowi pierwszy krok i fundament dla autentycznej demokratyzacji Uniwersytetu...

**— Chodzi nam o wywalczenie dla całego Uniwersytetu praw do decydowania o swej strukturze, o wszystkim, co się w nim dzieje** — oświadcza w imieniu studentów Paweł Gniazdowski (anglistyka), członek prezydium SKJ. Jest w tym stwierdzeniu — i całej postawie — upór, determinacja i świadomość celu. Dni i noce spędzone na dyskusjach, na „Solidarnym Czekaniu" nie poszły na marne. Jest w tym być może i młodzieńczy idealizm. Ale i głębokie przekonanie, że cel: AUTONOMIA, jest coraz bliższy. I że trzeba poń jeszcze odważniej sięgać.

Działacze z SKJ nie ukrywają, że po drodze możliwe są kompromisy. Dlatego np. podczas debaty w Senacie odrzucają zgłoszoną wcześniej propozycję skrajną, redukującą listę samodzielnych pracowników nauki dla poszerzenia reprezentacji studenckiej, czy też zmierzającą do zrównania liczby profesorów i docentów i studentów na poziomie 18.

**Staje na kompromisie. W gronie 41 członków senatu znajdzie się 13 przedstawicieli studentów** (zamiast — jak dotąd — 3), wszyscy z prawem głosu. Wniosek dotyczący młodych pracowników nauki zostaje zawieszony, powróci po konsultacjach. Na okres 3 miesięcy: dwóch posiedzeń studenci mają zagwarantowane jedną trzecią udziału w senacie UŁ. Aż do wyborów, do nowej ordynacji wyborczej i nowej Ustawy Sejmowej.

**Senat jednomyślnie przegłosowuje tę propozycję.**

6

Silniejsi o to zwycięstwo studenci przystępują do kolejnej fazy walki. Czy będzie ostatnia?

Środa, 21 stycznia, mijają dwa tygodnie od podjęcia protestu. Dziesięć dni od podpisania pierwszego porozumienia. Czy dziś podpisze następne?

Znów ta sama sceneria, choć przybyło plakatów, a hasło „CZEKAMY NA ODNOWĘ W UŁ!" zastąpiło inne:

CZEKAMY NA MINISTRA!

Podsekretarz stanu prof. dr Stanisław Czaja (specjalność: socjolog przemysłu) jest punktualny. Towarzyszą mu dyrektorzy czterech departamentów w MNSzWiT: Eugeniusz Pietrzak, Jan Stenerski, Stanisław Madej, płk. Jan Szarek. Po stronie komisji zasiadają również: ekspert, socjolog, prof. dr Janusz Borkowski z UŁ i rektorzy: prof. Skowroński, doc. Krzemiński. Studentów tym razem jest trzynastu, nie licząc „wzmocnienia" — kilkuset na korytarzu i w auli. Na młodzieżowym tle nobliwie wypadają eksperci, prawnicy: mecenas dr Karol Głogowski i mec. Tadeusz Grabowski. W obradach biorą udział obserwatorzy z ramienia uczelnianego zarządu NSZZ „Solidarność" oraz dziennikarze, którzy tym razem skutecznie staneli okoniem.

Z początku nic nie zapowiada kłopotów. Dyskusja przebiega dość potoczyście nad pierwszą stroną studenckich postulatów, gdzie w pięciu tezach SKJ sformułował swój pogląd na temat „ogólnych zasad udziału środowiska studenckiego w dyskusji nad kształtem nowego modelu uniwersytetu".

Jednakże pierwsze kontrowersje ujawnia dyskusja nad trybem i terminem ewentualnego wprowadzenia w życie nowego statutu UŁ. (dotąd go nie posiada wcale). Wiceminister:

— **Mogę zapewnić o swej przychylności dla ewentualnego wniosku w sprawie fragmentu statutu, dotyczącego prądnych, ale tylko w części dotyczącej studentów w senacie w ilości 1/3. Nie mogę natomiast zobowiązać się za ministra, że zgodzi się na senat: 1/3, 1/3, 1/3...**

Już ta faza rozmów pozwala zakreślić orientacyjną linię, poza którą resortowa delegacja nie zechce się wychylić... Niestety, pole manewru okazuje się dość ograniczone. Co prawda wiceminister — jak może — tak zapewnia o formalno-prawnych kompetencjach swej komisji i wszelkich posiadanych przez siebie upoważnieniach, ale wygląda to już tylko na próbę ratowania zagrożonego prestiżu.

**— Czy komisja, z którą rozmawiamy ma takie same uprawnienia jak minister, gdyby siedział tu zamiast niej?** — to pytanie postawione jeszcze dość ostrożnie już w dyskusji o statucie dla UŁ, jest pierwszym sygnałem zbliżającego się konfliktu.

Feralny punkt trzeci jest właściwie tylko rozwinięciem poprzedniego, na który komisja ministerialna zgodziła się bez zastrzeżeń. W punkcie drugim studenci żądają „pełnej samodzielności programowej, która polegać ma na przekazaniu Radom Instytutów wszystkich kompetencji dotyczących ilości egzaminów, przedmiotów i trybu ich zaliczania oraz niezbędnego kształtu programowego poszczególnych przedmiotów".

Punkt trzeci natomiast postulat ten ukonkretnia: „W szczególności żądamy, by tzw. przedmioty polityczno-społeczne (ekonomia polityczna, podstawy nauk politycznych, podstawy filozofii i socjologii marksistowskiej) zostały: a) uznane za fakultatywne, b) ograniczone, c) uprofilowane w zależności od specyfiki kierunków...".

Wiceminister: — **Sprofilowanie zależnie od kierunku? Tak! Ustępstwa w „widełkach godzinowych"? Również tak! Wprowadzenie własnych, bardzo zróżnicowanych programów, nowe podręczniki? Proszę bardzo. Ale na totalną fakultatywność nie mogę się zgodzić.**

Studenci: — **Na zajęciach PNP stawaliśmy się przedmiotem „propagandowej obróbki". Nie chcemy być dłużej traktowani instrumentalnie...** (oklaski w auli).

Wiceminister: — **Fakultatywność oznacza w waszym przypadku wyprowadzenie przedmiotu z uczelni!**

Nie ma gongu, ale tak kończy się pierwsze starcie. Przerwa na papierosa i konsultacje. W drugiej rundzie pojawiają się propozycje kompromisowe...

Marek Perliński (III rok psychologii, II — filozofii, członek SZSP): — **Jeżeli uniwersytet ma podejmować decyzje programowe, to nie stawiajmy sprawy sztywno. Pozostawmy decyzję do uznania Rady Wydziału.**

Dyr. Jan Stęperski — Departament Studiów, Badań Uniwersyteckich, Ekonomii i Pedagogiki: — **Powinniśmy posługiwać się tu argumentami merytorycznymi, prawnymi, a nie politycznymi... Proponujemy, aby przedmioty „polityczne" ograniczyć studentom indywidualnego toku.**

**— Panie dyrektorze, w UŁ jest 10 tys. studentów stacjonarnych, a indywidualnym trybem uczy się 60—80...** (znów brawa w auli).

Kolejna przerwa i kolejna seria propozycji ministerstwa. A więc „fakultatywność" zastąpić „elastycznością", PNP — nauką o polityce, filozofię marksistowską — historią filozofii... I znów przerwa!

Następną turę rozpoczyna wystąpienie eksperta z UŁ, który usiłuje zwekslować postulat na tor „zasadniczej rewizji poziomu, zakresu wiedzy, treści programowych". Przechodzi bez echa. Wiceminister proponuje: — W jakimś określonym terminie minister rozważy postulat...

Studenci są bezczelni: — **My jesteśmy przekonani, że rozmawiamy z ministrem.**

Prof. Czajka: — **Proszę mi nie uświadamiać mych kompetencji. Zwłoka jest mi potrzebna, bo będę chciał zasięgnąć opinii senatu i rad wydziałowych. Nie chcę pochopnego precedensu.**

Studenci przypominają o trwającej na UŁ gotowości strajkowej... Wiceminister: — **Pamiętajcie, że uczelnia składa się nie tylko ze studentów. Uważam, że strajk jest naruszeniem praw innych pracowników.**

Rektor prosi, aby nie stawiać sprawy ambicjonalnie... Apeluje „do zdrowego rozsądku studentów". Bez skutku.

Wiceminister zaskoczony i zniecierpliwiony: — **Czy na 5 stron postulatów jest to sprawa, która wszystko przesądza?**

Jeszcze jedna przerwa. Tym razem przedłuża się. SKJ podejmuje decyzję o strajku okupacyjnym. Godz. 21.05. Wojciech Walczak:

**— Chciałbym przedstawić jeszcze raz, jak rozumiemy ową fakultatywność. Byłby to wybór z bloku trzech przedmiotów — jednego. Pozostawienie studentom swobodnego wyboru...**

Wiceminister: — **Ja się nie uchylam, proszę tylko o możliwość skonsultowania. Dzisiaj odpowiedzi nie udzielę...**

Walczak: — **W takiej sytuacji zostałem zobowiązany przez SKJ do stwierdzenia, że do czasu rozwiązania tej sprawy, na Uniwersytecie Łódzkim prowadzona będzie akcja protestacyjna...**

Wiceminister: — **Jeżeli wam zależy na manifestacji, proszę bardzo...**

Walczak: — **...akcja o formie bardziej nasilonej niż dotychczas.**

Na moment zapada cisza, może pięć sekund i nagle ze wszystkich stron zrywają się oklaski, słychać gromadne „brawo".

Wiceminister: — **Byliśmy tu wszyscy pełni dobrej woli... Jednakże panowie chcą wszystkich odpowiedzi na „tak". To chodzi o jednostronny, arbitralny dyktat...**

Paweł Gniazdowski: — **Nam chodzi o autonomię uczelni, i nie jest przypadkiem, że kryzys dotyczy punktu trzeciego, który tę autonomię ogranicza. Oczekiwaliśmy, że ministerstwo określi swoje stanowisko. Nie wykluczamy kompromisu. Ale musi to być kompromis, który nas zadowoli.**

Mimo jasności sytuacji — impas, którego nic już nie przerwie — strony pochylają się jeszcze nad następnym punktem...

„Żądamy prawa do wyboru dwóch lektoratów ze wszystkich prowadzonych przez Studium Języków Obcych (zniesienia lektoratu obowiązkowego)". Odpowiedź przedstawicieli ministerstwa nic w dotychczasowej sytuacji nie zmienia.

Tymczasem pod drzwiami narasta gwar, słychać podniecone głosy: — Podjęliśmy decyzję o strajku okupacyjnym! Niech komisja wyjdzie! Trzeba to oficjalnie powiedzieć!

Mniej więcej w połowie obrad na drzwiach do sali Rady Wydziału ktoś przypiął kartkę: PER ASPERA AD ASTRA...

Tłumy studentów opuszczają aulę. Rozchodzą się do domów po ekwipunek i prowiant na noc. Część zmierza prosto na swoje wydziały, by zawiązać komitety wydziałowe i rozpocząć strajk.

Wojciech Walczak wybiega do auli. Proklamuję w imieniu Studenckiego Komitetu Jedności strajk okupacyjny.

Wiceminister na sali obrad: — **Sposób podejścia i presja, jaka została wytworzona w czasie rozmów, upewniły mnie w tym, że panom chodzi o jednostronny dyktat. To nie ja personalnie, ani moja delegacja doprowadziła do tej sytuacji. Ale mnie się obarcza winą...**

Głos wiceministra spotęgowany przez czynne jeszcze głośniki odbija się od ścian szybko pustoszejących korytarzy.

TOMASZ SOLDENHOFF

EWA NURCZYŃSKA

# W TROSCE O KSZTAŁT KRÓTKIEGO FILMU

**Mając na uwadze szereg funkcjonujących w Łodzi instytucji kultury skonstatować należy, iż Wytwórnia Filmów Oświatowych jest jedną z najsilniej w pejzaż miasta wrośniętych. W ogólnopolskiej perspektywie rzecz widząc, Wytwórnia ta skupia w sobie niemal wszystkie działania kinematografii ukierunkowane na te funkcje społeczne, które wiążą się z dydaktyką i popularyzacją wiedzy. W ciągu 30 lat istnienia WFO pojawiły się na mapie Polski i inne instytucje uprawiające tę formę kinowej twórczości, co nie zmieniło jednak faktu, że łódzka Wytwórnia zajmuje w niej czołowe miejsce zarówno w ilości rocznie realizowanych filmów, jak i klasy samych dzieł firmowanych, w wielu przypadkach nazwiskami autorów, którzy tworzą indeks najwybitniejszych przedstawicieli polskiego filmu oświatowego.**

**Ewolucja działań realizatorskich Wytwórni Filmów Oświatowych oraz autorskie pasje i poszukiwania ludzi z nią związanych sprawiły, iż od wielu już lat oficjalna nazwa Wytwórni nie w pełni odpowiada temu, co pod jej egidą wkracza w obieg społeczny i tworzy historię polskiej kinematografii. Powstające w WFO filmy to bowiem nie tylko uprawomacniający nazwę Wytwórni nurt filmów dydaktycznych, popularnonaukowych i instruktażowych. Od dawna powstają w niej filmy wymykające się prostej, gatunkowej klasyfikacji, przypisującej im głównie te funkcje użytkowe, które zwykliśmy łączyć z tak czy inaczej uprawianą edukacją.**

**Pierwszym przykładem tej sytuacji były tzw. filmy o sztuce, w których najsilniej dochodząca do głosu indywidualność twórcza autora prowadziła do form wypowiedzi odbiegających od rutyny prostej prezentacji poprzez film dzieł innych sztuk. Coraz częściej pojawiały się także w produkcji WFO utwory, których rodowód i funkcję społeczną wiązać należy z filmem dokumentalnym i wreszcie, w latach 70, WFO poczęła firmować filmy wyrosłe z ducha eksperymentu artystycznego, filmy, do których nie przylegała żadna z dotychczas funkcjonujących konwencji gatunkowych.**

**Proces ten uznać należy za naturalny wynik przemian zachodzących na terenie twórczości filmowej w ogóle. Związane są one z zachodzącymi zmianami w obiegu filmów i społecznym na nie zapotrzebowaniu, z rozwojowymi tendencjami sztuki filmowej oraz wkroczeniem do kinematografii pokolenia twórców, obdarowanych nową świadomością kina.**

**Przypomnienie tych faktów służy w tym wywodzie rozpoznaniu sytuacji zastanej w WFO na przełomie 1980/81, gdyż, jak nietrudno się domyślić, dążenie od odnowy, będącej dziś programem wszystkich środowisk społecznych, nie mogło nie dojść do głosu i w gronie ludzi z Wytwórnią tą związanych. Praktyka naszego obecnego życia społecznego wykazuje, że w pojęciu: odnowa kryje się w wielu wypadkach walka nowego ze starym. Nowe utożsamiane jest z działaniem na rzecz wyprowadzenia problemów danego środowiska z labiryntu błędów, złych praktyk, rutyny, konserwatyzmu postaw, brudu moralnego itd. Tej potrzebie katharsis, która nie może manifestować się tylko przez negację, towarzyszą pierwsze próby budowania programu pozytywnego, lecz ten nie rodzi się łatwo i w odczuciu społecznym, w odniesieniu do różnych dziedzin naszego życia — zbyt wolno.**

Wiele dotychczasowych enuncjacji prasowych informuje o burzliwych dyskusjach i polemikach toczących się w całym środowisku filmowym. Problemy Wytwórni Filmów Oświatowych są jedynie ich cząstką i dużo z nich zależne jest od rozstrzygnięć, które dotyczyć będą kinematografii traktowanej jako całość. **Jak trudno hasło odnowy wcielać w życie, świadczą nie tylko boje prowadzone dziś o strukturę i sposób funkcjonowania kinematografii, ale także wewnątrzśrodowiskowe polemiki. Przykładem — niepokój, któremu dają wyraz przedstawiciele tzw. krótkiego metrażu, a który wyniesiony został z ostatniego Zjazdu Stowarzyszenia Filmowców Polskich, a ściślej z tzw. pierwszego dnia tychże obrad. W ich odczuciu na spotkaniu tym los filmu krótkometrażowego został zlekceważony, a fabularzyści nie tylko zdominowali władze Stowarzyszenia, ale i ukierunkowali dalsze działania na rzecz odnowy polskiej kinematografii, akcentując głównie problemy fabuły.**

Tymczasem, już od dawna stan polskiego filmu dokumentalnego oraz sytuacja filmu oświatowego budziły głębokie zaniepokojenie i sprzeciwy. Ograniczenia cenzuralne, zatrważający spadek ilości produkowanych filmów, stan bazy technicznej, fatalne formy rozpowszechniania — to główne przyczyny tego niepokoju, który, jak dotąd, nie jest żadnymi pozytywnymi decyzjami zahamowany. Podobnie, jak dzieje się to w innych środowiskach, ruch odnowy organizuje się jednak od dołu, co jest niezwykle istotnym dla działań docelowych objawem obudzenia aktywności jednostek i zbiorowości tkwiących do niedawna w bezwładzie i niemożności. Z dyskusji, polemik oraz formułowanych dążeń i wizji sensownego funkcjonowania i pracy wyłonią się, niejmy nadzieję, decyzje naprawiające błędy przeszłości.

Widomym i pobudzającym do nowych przemyśleń znakiem czasu stała się w środowisku realizatorów związanych, w różny zresztą sposób, z Wytwórnią Filmów Oświatowych deklaracja grupy twórców, zmierzających do utworzenia Zespołu Twórczego. W grupie tej, w przewadze, znaleźli się reżyserzy i operatorzy młodszego pokolenia, a więc ci, którzy w latach 70, debiutując w WFO, tworzyli ów nurt kina poszukującego w krótkim metrażu nowych form artystycznego wyrazu. Należą do nich m. in. **Piotr Andrejew, Andrzej Barański, Bogdan Dziworski, Tadeusz Junak, Marek Koterski** i inni. Akces uczestnictwa zgłosili także **Wojciech Fiwek, Bohdan Mościcki, Andrzej Papuziński,** a więc ludzie pracujący w WFO od dawna.

**Co skłoniło tych realiaztorów do działań na rzecz powołania Zespołu Realizatorów Filmów Krótkometrażowych, jaką skonstruowali deklarację programową?**

W skierowanym do Naczelnego Zarządu Kinematografii piśmie czytamy: **„Konieczność utworzenia zespołu wyrosła z potrzeby działań tych reżyserów, którzy chcą i gotowi są przestrzegać rygoru etycznie czystej postawy zawodowej. Zespół winien więc skupiać reżyserów robiących filmy przede wszystkim w wyniku wewnętrznego imperatywu twórczego... Chcemy po prostu realizować filmy na wszelkie godne uwagi tematy, z wszystkich dziedzin, chcemy z pełnym nieskrępowaniem uprawiać wartościowy film krótkometrażowy z całym bogactwem jego odmian i z troską o twórczy rozwój jego środków wyrazowych. Troska ta silnie znamionowała najwartościowsze dokonania interesującego nas nurtu produkcji i stanowiła oryginalny wyróżnik naszych filmów w panoramie polskiego krótkiego metrażu... Zrąb takiej twórczości filmowej, jakiej życzylibyśmy sobie w zespole, już w WFO istnieje: powstało i powstaje w naszej Wytwórni szereg wartościowych filmów, noszących znamiona etyczności twórczej i twórczej autonomii. Ale tryb powstawania tych filmów jest z gruntu ułomny i na poły nielegalny, a one same kamuflowane są pod absurdalnymi, niezgodnymi z ich istotną etykietkami. Chcemy, aby ten cenny a stanowczo zbyt skromny nurt, został usankcjonowany i poparty przez władze kinematografii i — dzięki temu — rozwinął się bujnie, na miarę rzeczywistych a niewykorzystanych możliwości twórczych Wytwórni i całego środowiska".**

Z tej skrótowo zresztą przedstawionej tu ideowej deklaracji wydobyć należy trzy słowa-klucze: sztuka, etyka, autonomia twórcza. W nich skupią się marzenia twórców i oczekiwania adresatów ich dzieł. Uczestnictwo w kulturze obu stron wskazuje, że niełatwo słowa te czynić ciałem. Jeśli pojawiają się na nowo jako program twórczy, znaczy to, że uległy daleko idącej dewaluacji i że, co istotne, stają znów w centrum uwagi, budząc nadzieje na ich renesans. Tyle słów komentarza wobec samej idei.

Przedstawione wyżej fragmenty deklaracji zespołu kryją jednak także sprawy ściągające „anioły na ziemię". Mowa w tym programie o zapleczu faktów dokonanych, stojących za planami dziś wybiegającymi w przyszłość. Jego autorzy odwołują się do filmów, które w minionych latach były przykładami i wynikiem wspomnianego „wewnetrznego imperatywu twórczego". W wielu wypadkach ich autorami byli członkowie zespołu. Prawdą jest, że to te filmy budziły ogromne zainteresowanie, ich twórcom i samej WFO przynosiły laury i wyróżnienia festiwalowe, pozwalały mówić o nowych tendencjach Wytwórni, otwierającej swe podwoje debiutantom i wszystkim tym, którzy z krótkiego metrażu czynią wysoko artystyczną formę wypowiedzi. Filmy te powstawały i powstają, choć dziś ich autorzy przypominają niepotrzebny, etykietkowy kamuflaż, wynikający z faktu, że realizowane są w Wytwórni mającej w swej nazwie określenie: film oświatowy.

Dla ludzi stojących z boku wewnętrznych kłopotów Wytwórni i sposobów budowania jej programu sprawy te nie mają większego znaczenia. Ważne, by filmy te gdzieś w Polsce powstawały. Może w WFO, gdzie od dawna nie tylko stricte oświatowe filmy się realizuje, może w wytwórniach, które w przeciwieństwi do tamtej, w samej swej nazwie kryją zachętę. Myślę tu o Studium Małych Form Filmowych i Studiu Miniatur Filmowych.

Powróćmy jednak do grupy tych, którzy swą twórczą pracą przede wszystkim, choć nie tylko, z WFO związali. **Swą działalność pragną dziś usankcjonować powołaniem zespołu, dla którego warunkiem sensownego funkcjonowania będzie tematyczna i artystyczna autonomia realizowanych filmów, zespołu, w którym reżyser winien być wolny od jakichkolwiek presji administracyjnych i ingerencji z zewnątrz.** Jest to założenie, które towarzyszy obecnie wszystkim działaniom twórczym, a na terenie kinematografii szczególnie mocno jest formułowane przez zespoły fabularzystów. Trudno założenia tego nie popierać.

Przedstawiona tu grupa realizatorów, mówiąc o warunkach pełnej autonomii swej pracy, wyklucza, jak czytamy w ich deklaracji, robienie jakichkolwiek filmów zleceniowych. I tu dochodzimy do sprawy, która głęboko poruszyła tych realizatorów WFO, którzy nie zgłosili akcesu do zespołu. Część z nich, na fali pierwszych dyskusji, wystąpiła z ideą powołania drugiego zespołu, część próbowała przenieść ciężar dyskusji i dalszych docelowych działań na płaszczyznę idei Samorządu Twórczego. Inicjatorzy drugiego zespołu, a wśród nich **Jerzy Bezkowski, Stanisław Grabowski** i **Zygmunt Kierszteln**, podobnie jak koledzy z pierwszego zespołu przedstawici w NZK projekt statutu. Oba potencjalne zespoły pozostają w stanie oczekiwania na rozmowy z władzami kinematografii. Ten czas oczekiwania nieco spolaryzował stanowiska tych, którzy pozostali poza pierwszym zespołem i dziś o idei Samorządu Twórczego dyskutuje się więcej, niźli o zespole.

Powołanie Samorządu Twórczego miałoby być prawnym usankcjonowaniem przywilejów, których dotąd nie posiadała ni Sekcja Filmu Oświatowego przy Stowarzyszeniu Filmowców Polskich, ni powoływana przez dyrekcję wytwórni Rada Artystyczna. Chodzi o to, by społecza reprezentacja realizatorów mogła współdecydować o funkcjonowaniu przedsiębiorstwa, mieć wpływ na ostateczny kształt programów powstających filmów, mieć ostatnie słowo przy rozdziale tematów, posiadać prerogatywy interwencyjne, czuwać nad właściwym wykorzystaniem talentów ludzkich oraz nad sprawami zwykłej zawodowej egzystencji wszystkich pracowników.

Rzecznicy idei samorządu, a wśród nich **Witold Żukowski** i **Władysław Wasilewski,** marzą o takiej strukturze, która zabezpieczałaby interesy środowiska, zarówno w sytuacji dobrej jak i złej woli kierownictwa. Obawiają się także, iż zespoły funkcjonujące w przypadku filmu krótkiego na bazie produkcyjnej i organizacyjnej wytwórni, nie uzyskają statusu prawnego, który tak rozumianą samorządność mógłby zabezpieczać. Nie negują idei zespołów generalnie — widzą sens ich istnienia w tworzeniu się pewnych grup połączonych upodobaniami twórczymi, manifestujących swój program i styl na zasadzie konkurencji poziomu artystycznego samych powstających pod ich patronatem filmów. Zdaniem wielu realizatorów deklaracja pierwszego zespołu, odcinająca się w sposób generalny od tzw. zleceniówek, prowadzi do utraty kontroli nad tą grupą filmów, która decyduje o istnieniu i funkcjonowaniu WFO.

Podkreślić tu zatem należy, iż określenie: film zleceniowy jest niezwykle pojemne. Mieszczą się w nim dydaktyczne, popularnonaukowe i instruktażowe filmy, zamawiane przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania, Ministerstwo Rolnictwa, Telewizję Polską i wiele innych resortów, ale także nieszczęsne filmy reklamowe i różne jubileuszowe laurki. Jest to więc ta najobszerniejsza część produkcji, którą w głównym jednak stopniu określały i określają edukacyjne funkcje filmów z WFO. W przypadku ich powstawania realizatorzy w istocie podporządkowani są programowym życzeniom zamawiających. Od nich zależy jedynie jakość wykonania, którą tworzą nie tylko stricte warsztatowe kompetencje.

Do tej postawy odnoszą się zatem, jak sądzić należy, słowa wyjęte z deklaracji potencjalnego zespołu: **„Przyznajemy reżyserowi** — jak każdemu twórcy — **prawo do zrobienia filmu nieudanego w swym ostatecznym efekcie ekranowym. Uważamy jednak, że reżyserowi nie godzi się przystępować do realizacji filmu z cyniczną świadomością, że jest to przedsięwzięcie już z założenia chybione, konformistyczne, interesowne."** Słowa to mocne, choć zrozumiałe u tych, którzy swej pracy twórczej nie chcą łączyć z bezpośrednio użytkową, a przecież tak niezbędną w pewnych dziedzinach swoją społecznego działalność.

Jeśli cytowane tu słowa wziąć dosłownie, to istnieje obawa przed wylaniem dziecka z kąpielą. Realizatorzy z WFO filmy zleceniowe robić będą, gdyż taka jest funkcja tej Wytwórni. Jest w tych słowach ukryta jednak ważna uwaga. Każda praca, a więc i ta zamówiona, winna się charakteryzować odpowiedzialnością za wykonywane zadanie i legitymować jego jakością. I prawdą jest, że powstawały w WFO filmy cech tych pozbawione. Działania grupy inicjatorów zespołu zwróciły zatem uwagę środowiska na ten aspekt jego działalności, czego trudno nie docenić.

Choć wiele spraw w ramach niniejszego wywodu warto by jeszcze podjąć, ograniczmy się tylko do jednego spostrzeżenia. W grupie tzw. filmów autorskich, a więc realizowanych za pieniądze bezpośrednio przekazywane WFO przez kinematografię, powstawały nie tylko owe, nie zawsze przystające do oficjalnej etykiety Wytwórni filmy. Tworzyły tę grupę filmy popularnonaukowe prezentujące tematykę przyrodniczą, techniczną, etnograficzną, filmy o sztuce i inne. Stanowiły zawsze główną wizytówkę WFO, w nich dochodziła do głosu także autorska twórcza postawa w jej najszlachetniejszej w ramach uprawianego gatunku wersji.

Idei tych filmów zaprzepaścić nie można w tym samym stopniu, co troski o wysoki poziom różnego typu filmów zlecanych oraz wszystkich innych form filmu krótkiego, które nie mieszcząc się w formalnej nazwie Wytwórni Filmów Oświatowych, w niej właśnie powstają. Czy w Wytwórni tej zwycięży idea w pełni autonomicznych zespołów czy działań Samorządu Twórczego, pozostaje sprawa środowiska i władz kinematografii. Odbiorcy filmów realizowanych w WFO, a więc ci, którzy będą oceniać ich ważkość i poziom artystyczny, podtrzymują środowiskowe żądania twórczej autonomii we wszystkich tych nurtach, w których reżyserzy winni mieć do tego prawo. W tych zaś, gdzie pozostają w sensie programowym zależni od zamawiającego, niechaj dojdzie w pełni do głosu wspomniana tu dziś etyczność twórcza. W całej przedstawionej tu sprawie jedno jest na pewno ważne: uświadomiono sobie niebezpieczeństwo kryjące się w rutynie oraz potrzebę poszukiwań nowych rozwiązań służących idei wartościowego filmu krótkiego we wszystkich jego odmianach.

---

# O bezinteresownej radości krzewienia

Czas obecny jest czasem pytań i rozliczeń. Pytanie podstawowe brzmi: jak to się nagle stało, że jest tak źle, skoro było tak dobrze? Dotyczy ono praktycznie każdej dziedziny życia i każdy na swoim podwórku może je postawić. Weźmy chociażby zjawisko zwane kulturą filmową. Ileż to uczyniono dla jej rozkwitu!!! Krzewiono, rozwijano, rozbudowywano... Mnożyły się akcje, akademie, wszechnice, seminaria, sympozja i sesje mniej lub bardziej naukowe, niczym króliki w szafie ulubionego bohatera naszych czasów, Lejzorka Rojtszwanca. Zadrukowywano mnóstwo tak cennego skądinąd papieru sporządzano krocie sprawozdań. Rozpleniła się chałtura ambitna i wielce zaangażowana. Zimą spędzano różnych nieszczęśników (zwłaszcza z prowincji) do udziału w Akademiach Filmowych, tudzież w akcjach „Z filmem na ty" itd., latem zaś jak Polska długa i szeroka — od Tatr do Bałtyku, nie wyłączając jezior augustowskich i mazurskich — rozkwitała łanem rozmaitych obozów organizowanych pod hasłami „Lato filmowe" „Film latem", lub coś w tym stylu. Pożytek z owych obozów, wbrew pozorom, był znaczny, bo prelegenci mogli spędzić sezon urlopowy tanio i przyjemnie, zwiedzając przy okazji najpiękniejsze rejony ojczystej ziemi, zaś uczestnicy dwa tygodnie, albo nawet miesiąc żyli spokojnie na koszt społecznych instytucji i organizacji. Działacze kulturalni także często korzystali z tych form przyjemnego i godziwego odpoczynku. Wszyscy zatem mieli powody do radości, zwłaszcza jeśli pogoda dopisywała. Oprócz lat poniektóre malownicze i mniej malownicze ośrodki urządzały jeszcze wiosny kulturalne i jesienie, na których również nie szczędzono P.T Publiczności licznych prelekcji i referatów z towarzyszeniem filmowych projekcji. Obrotny wykładowca w ciągu dwóch dni pobytu w terenie wygłaszał sześć prelekcji i wychodził na swoje, ofiarnie i w sposób głęboko zaangażowany przyczyniając się do rozwoju kultury filmowej.

Bardziej przedsiębiorcze akcje i ośrodki dysponowały nawet własnymi wydawnictwami, gdzie pracowicie, acz za wynagrodzeniem przepisywano fragmenty popularnych książek i podręczników, lub publikowano uproszczone, schematyczne i pozbawione jakiegokolwiek indywidualnego piętna opracowania. Poziom poniektórych prelegentów — owych krzewicieli wiedzy i kultury — był żenujący, ale i ludzie kompetentni, przy najlepszych chęciach niewiele mogli zdziałać, zdeterminowani absurdalnie pomyślanym programem.

Pracujących lub uczących się kursantów ściągano gdzieś z terenu, najczęściej na niedzielę, do większego ośrodka po to, by w ciągu dwóch godzin zaaplikować im na przykład całą historię powojennego filmu. W ciągu zaś następnych dwóch godzin mieli wchłonąć 20-letni, powiedzmy, dorobek myśli teoretycznej. Do tego dwie godziny projekcji i mamy szeroko zakrojony i ambitny program. W rezultacie takiego szkolenia każdy z uczestników miał już pełne prawo przejść z filmem „na ty" i dalej krzewić w narodzie osiągniętą przez siebie wiedzę ogromną i głęboką.

Gwoli jeszcze głębszego pogłębienia rzeczonej wiedzy i kultury uszczęśliwiano widzów kin studyjnych i DKF cienką zupką pogadanek i prelekcji, prowadzonych w sposób możliwie bezosobowy, wypranych z intelektualnej inwencji i prowokacji. Zarówno gadacze jak i słuchacze traktowali rzecz całą jako zło konieczne. Pierwsi musieli z czegoś żyć (krzewiciel kultury to zawód a nie powołanie), drudzy zaś skłonni byli przychylać się do tezy, że nie ma kultury bez cierpień.

Sama idea owego zbiorowego pouczania i wychowywania, wskazywania palcem, co dobre i słuszne, co trzeba kochać a co nie, musi w normalnym człowieku wywołać naturalny odruch buntu i obrzydzenia. Autentyczna kultura — jak już dawno zauważyli uczeni w tej materii eksperci — opiera się na różnicowaniu smaków, upodoban i wrażliwości, na wielości indywidualnych poglądów i interpretacji, na możliwości konfrontacji, na samodzielnym myśleniu. Kulturę wzbogaca spontaniczność inicjatyw i zainteresowań — to przecież oczywiste. Po co, u licha, zaśmiecać umysły, upupiać je gotowymi formułkami, frazeologią, pseudonaukowym banałem, po co kształtować z maniackim uporem owego przeciętnego połykacza strawy duchowej, zwanego inaczej szarym widzem. Ta szarzyzna, ta przeciętność stanowią z istoty swej zaprzeczenie prawdziwego życia kulturalnego prowadzą do myślowej stagnacji i marazmu których rozliczne a smętne przejawy spotykamy na każdym kroku. Nic gorszego nad bierne obiekty procesu krzewienia i pogłębiania.

Książkę filmową (na palcach można policzyć to, co u nas wydano), interesujące czasopisma, działalność filmoteki (nieszczęsna ta instytucja pracuje w potwornych warunkach lokalowych i tylko autentyczny entuzjazm zatrudnionych w niej ludzi sprawia, że w ogóle coś robi), a wreszcie sieć kin (mizerniejsza w Europie już tylko od Albanii) i repertuar filmowy zastąpiono papką referatów i prelekcji. W ten sposób pozbawiono jednostki tworzące społeczeństwo prawa wyboru, prawa stanowienia o własnych upodobaniach i poglądach. W efekcie zaś tych wszystkich zbożnych zabiegów mamy jedną z gorszych widowni filmowych. Kina (smutne i szpetne, dysponujące fatalną aparaturą, wyświetlające równie fatalnej jakości kopie) świecą pustkami. Wykruszają się zastępy filmowych fanatyków. Powolną śmiercią umiera ruch DKF. Zniknęła niepowtarzalna magia kina — sztuki niepokojącej i tajemniczej, poetycko-jarmarcznej. Jesteśmy coraz dalej i dalej od tego, co się dzieje gdzieś tam, w światowym kinie. Karmimy się okruchami z pańskiego stołu. Niedawno przebojami filmowego sezonu były polskie filmy międzywojennego 20-lecia, odkurzone i odświeżone, całkiem jak nowe. Zgubiliśmy po drodze całe obszary dorobku filmowego, całe rozdziały historii. Pewne nazwiska i tytuły znaczące dla tego, co się w sztuce filmowej dzieje, są dla widowni pustym dźwiękiem. Publiczność nasza nie zna filmów (a jeżeli, to z telewizji), nie rozumie ich, nie żyje nimi. Edukacja filmowa, oparta na intensywnym i częstym obcowaniu z dziełami, a stanowiąca podstawę, praźródło twórczości i kultury odbioru — praktycznie nie istnieje. Jak mogą powstawać dobre filmy w kraju, w którym nikt już naprawdę nie kocha kina, nikt spontanicznie nie reaguje na jego uroki, nie poddaje się jego magii...

MARIA KORNATOWSKA

# JESTEM TYLKO CZĘŚCIĄ ZESPOŁU

## mówi JANUSZ CEGIEŁŁA

**„Nowe w Wielkim" — tak brzmiał tytuł obszernego artykułu, w którym kilka tygodni temu Tomasz Soldenhoff relacjonował wydarzenia i atmosferę ostatnich miesięcy w Teatrze Wielkim. Załoga tej placówki ogłosiła wotum nieufności dla ówcześnie sprawującego jej dyrekcję Andrzeja Hundziaka, a wśród zgłoszonych władzom postulatów znalazł się i taki, w którym domagała się ona zmiany na stanowisku dyrektora.**

**Z dniem 1 stycznia 1981 roku dyrekcję Teatru Wielkiego w Łodzi objął JANUSZ CEGIEŁŁA.**

Znamy go wszyscy głównie ze znakomitych, przez kilka lat prowadzonych programów telewizyjnych, w których pasjonująco wręcz popularyzując muzykę dawał prawdziwe, a przy tym niesłychanie wyważone i taktowne popisy głębokiej wiedzy muzycznej i wyjątkowej zgoła znajomości prezentowanego przedmiotu.

Kompozycja i treść tych programów (ułożonych w trzy odrębne cykle, z których pierwszy nosił tytuł „Słuchamy i patrzymy", drugi — „Żywoty instrumentów", a trzeci — „Przeboje mistrzów") świadczyła nie tylko o znacznym w dziele popularyzowania muzyki doświadczeniu ich autora, ale także i o tym, że posiadł on równie rozległą jak znajomość sekretów Polihymnii orientację w stanie wiedzy — bądź raczej niewiedzy — muzycznej tzw. szerokiego kręgu odbiorców. Można zatem przypuszczać, że Janusz Cegiełła przystępując do realizacji swoich programów wiedział wszystko także o rodzaju zainteresowań i upodobań muzycznych przeciętnego odbiorcy dóbr kulturalnych, można — idąc dalej — domniemywać, że posiadłszy tę wiedzę potrafi on kierunkować, a zatem i poszerzać możliwości percepcyjne owego odbiorcy. W przygotowywanych przez mojego dzisiejszego rozmówcę programach telewizyjnych (najlepszych bodaj jakimi w tej dziedzinie sztuki nasza telewizja może się poszczycić) obok wiedzy muzycznej i umiejętności jej popularyzacji przykuwała uwagę do osoby Janusza Cegiełły i budziła sympatię odbiorców tych widowisk jego wielka kultura osobista, swada i atrakcyjność wygłaszanego przezeń słownego przekazu, a także — i chyba przede wszystkim — jego autentyczna pasja, która wskazywała na jeden tylko rodowód: szczere umiłowanie muzyki oraz idące z nim w parze głębokie przekonanie o konieczności podejmowania wszystkich działań zmierzających do podniesienia na możliwie najwyższy poziom kultury muzycznej społeczeństwa.

Nie mogły zatem lepiej ulokować nadziei na odnowę Teatru Wielkiego wszystkie jego zespoły, a także władze naszego miasta, gdy przedyskutowawszy wspólnie niesłychanie ważną dla powodzenia owej odnowy kwestię obsadzenia stanowiska dyrektora łódzkiej sceny operowej, zwróciły się z propozycją jego objęcia właśnie do Janusza Cegiełły.

Janusz Cegiełła, zapytany przeze mnie o motywy przyjęcia tej propozycji odpowiedział:

— Uczyniłem to z powodów czysto społecznych, z poczucia obywatelskiego obowiązku. Uważam bowiem, że jeśli w naszych skądinąd ciekawych, wręcz pasjonujących czasach, ale też w czasach, gdy zbyt drogo płacimy za bierność, za brak aktywności i inicjatywy, w czasach, które rozliczając z tego nas wszystkich korzystają po prostu z prawa do stawiania wymagań, jeśli więc w takich właśnie czasach i w takiej potrzebie ktoś z nas może zrobić cokolwiek dobrego, to nie wolno mu tego nie zrobić. Nie wolno mu nie pójść tam, gdzie mogą się przydać i być potrzebne jego umiejętności i wiedza, nie wolno odmówić swojej pomocy. Przez 20 lat obsiadywałem różne dyrektorskie fotele, więc gabinety, splendory i apanaże już nie bardzo mi imponują. Mam w Warszawie wygodne mieszkanie, mnóstwo pasjonujących zajęć, z których najwięcej satysfakcji daje mi praca literacka i nie cierpię biedy, nie brakuje mi też popularności, która zresztą jest czasem wręcz uciążliwa. Jak więc pani widzi u podłoża mojej decyzji o przyjęciu propozycji kierowania Teatrem Wielkim nie tkwi żaden materialny bądź emocjonalny impuls. Nie bez znaczenia, do czego przyznaję się bez zażenowania, bo nie ma do niego powodów, były czynniki natury emocjonalnej: jestem łodzianinem (który przed osiemnastu laty do stolicy przeniósł się tylko dlatego, że w Łodzi nie mógł doczekać się mieszkania), widziałem jak rosły mury Teatru Wielkiego, w Łodzi mieszka moja matka, przez wiele lat współpracowałem w dziedzinie popularyzacji muzyki z Łódzkim Towarzystwem Muzycznym im. Karola Szymanowskiego, od niemal niepamiętnych czasów pisuję artykuły w programach koncertów Filharmonii Łódzkiej bywam na łódzkich premierach operowych i od początku istnienia Teatru Wielkiego żywo interesowałem się jego repertuarem i osiągnięciami artystycznymi. Było ich przecież wiele i poznawszy w czasie premier, a także wspólnych koncertów wielu członków jego zespołu z całym przekonaniem twierdzę, że teatr nasz stać na sukcesy. Jest bowiem nasz teatr teatrem wspaniałych doprawdy artystów, a Łódź, wbrew temu, co sami zwykliśmy o niej mówić, ma wcale niemałe tradycje kulturalne i ciągle niezmiennie wielkie szanse na to, by stać się prawdziwym centrum kultury i sztuki. Łódź jest naprawdę coraz atrakcyjniejsza kulturalnie, dla wielu wybitnych artystów jej historia stanowi źródło twórczych inspiracji. Łódź współczesna ze swoją nową, ale przecież też już jakoś okrzepłą publicznością, jest nadal ziemią obiecaną i ziemią obiecującą. Tu można znaleźć wspaniałe dla siebie miejsce, miejsce realizacji wokół siebie rzeczy pozytywnie możliwych, tak właśnie dziś interpretuję definicję Łodzi jako ziemi obiecanej. A ziemia obiecująca? — to też Łódź, która wraz ze swymi mieszkańcami obiecuje pomoc i współpracę, a zatem aktywny współudział w tworzeniu, niczego — i chyba słusznie nie obiecuje jednak bez wcześniej danych jej gwarancji, pozostaje bierna i niechętna, gdy budzi jej wątpliwości nasza niepełna realizacja podjętych wobec niej zobowiązań. Łódź wydaje mi się bardzo surowa. Odnoszę wrażenie i ciągle w to wierzę, że Łódź gotowa jest dać wszystko za wszystko, i choć w swej surowości posuwa się nieraz strasznie daleko — jest ludzka i zdarzało jej się chyba po prostu do kogoś zniechęcić a może nawet uprzedzić — to wydaje mi się że winniśmy dać jej wszystko na co nas stać. I jeszcze więcej, bo zawsze stać nas na więcej niż dajemy, a ona naprawdę potrzebuje nas, naszej obecności, pracy, twórczości i pomocy. Można zatem powiedzieć, że tę decyzję, o której motywy pani pyta, podjąłem ze zrozumienia potrzeb tego miasta. Jeśli stwierdziło, że ja właśnie mogę mu pomóc, to spróbuję to uczynić.

*Foto: R. Łucyszyn*

JANUSZ CEGIEŁŁA: *„Gdyby łódzki robotnik, inteligent, student czy gospodyni domowa powiedzieli o Teatrze Wielkim „mój teatr", znaczyłoby to, że spełniliśmy swoje zadanie, że wypełniliśmy swoje wobec Łodzi zobowiązanie, że daliśmy wszystko i że oto ona wszystko daje nam w zamian..."*

**— Od czego pan zacznie?**

— Od analizy obecnego stanu teatru i od... niekwestionowania osiągnięć licznej już grupy moich poprzedników na tym stanowisku. Ja też nie jestem ostatnim człowiekiem, który je obejmuje, po mnie przyjdą inni, teatr zaś pozostanie ze swoją tradycją i różnobarwnymi kartami swojej historii. Muszę więc dokładnie przeczytać tę księgę, tyle samo uwagi poświęcając jej jasnym i ciemnym barwom. Uważam poza tym, że wszędzie i wszystkim niezbędna jest świadomość ciągłości wszelkich otaczających nas zjawisk. Mam tę świadomość i bardzo dokładnie analizuję sezon po sezonie, premierę po premierze, wszystkie sukcesy i niepowodzenia. Sukcesów było więcej. To dobry dla mnie znak. Bywam na wszystkich spektaklach i muszę pani powiedzieć, że z radością (i pewną ulgą, gdyż zdjęły one ze mnie najbardziej dręczący niepokój) znajduję nasz zespół w naprawdę dobrej kondycji wokalnej i aktorskiej...

**— Powiedział pan „nasz" zespół...**

— A jak miałem powiedzieć? Nie będę używał określenia „mój" teatr, „mój" zespół, bo nie ma między nami takiej, ani tak ustawionej zależności. Ja jestem tylko częścią tego zespołu. Byłoby natomiast wspaniale, gdyby mianem „swojego" określali nasz teatr widzowie. Gdyby łódzki robotnik, inteligent, student czy gospodyni domowa powiedzieli o Teatrze Wielkim „mój teatr" znaczyłoby to, że spełniliśmy swoje zadanie, że wypełniliśmy swoje wobec Łodzi zobowiązanie, że daliśmy wszystko i że oto ona wszystko daje nam w zamian...

**— Czy i o programie, o planie repertuarowym, o zrealizowanym już repertuarze także nigdy nie powie pan „mój repertuar"?**

— Ta sprawa wymaga chyba jeszcze szerszego wyjaśnienia. Jest rzeczą oczywistą, że każdy z nas ma jakieś ulubione pozycje repertuarowe, że chciałby, mając prawo do pewnych decyzji i odpowiadając za kształt artystyczny kierowanej przez siebie placówki, móc je zrealizować, spełnić jakieś marzenie, są więc w światowej literaturze operowej dzieła, które bardzo chciałbym posłyszeć u nas i obejrzeć, ale przecież muszę się liczyć z możliwościami głosowymi naszych śpiewaków. Te możliwości są wielkie, tylko wśród naszych solistów nie ma akurat głosów tego r o d z a j u, które dla inscenizacji tych utworów byłyby niezbędne. Muszę także brać pod uwagę możliwości percepcyjne naszego słuchacza, liczyć się jednak w jakimś stopniu z jego upodobaniami. Bo w każdym teatrze świata najważniejsza jest publiczność. Dla niej przecież pracujemy bez niej... Bez niej nas nie ma... Łódź ma prawo do teatru operowego z prawdziwego zdarzenia, teatru przede wszystkim solidnego,

---

## WIESŁAW PUSZ

# ALEKSANDER KAMIŃSKI

Aleksander Kamiński urodził się w Warszawie, 28 stycznia 1903 r., ale w swym burzliwym i pracowitym życiu poznał Ukrainę, działał i pracował na Śląsku, w stolicy oraz w Łodzi. W Łodzi wśród wytężonej pracy naukowej na stanowisku profesora uniwersytetu upłynęły jego ostatnie lata, zmarł 15 marca 1978 roku.

Pasją Aleksandra Kamińskiego była młodzież, a ściślej: historia, teoria i praktyka organizacji młodzieżowych. Nauczanie, harcerstwo, praca organizacyjna, twórczość literacka i naukowa — działania z pozoru sprzeczne w swej naturze — służyły jednej sprawie: poznaniu i sprawdzeniu wychowawczych możliwości związków młodzieży.

Do harcerstwa wstąpił Kamiński w 1918 r, w gimnazjum polskim w historycznym Humaniu. Po powrocie do kraju w 1921 r. łączył obowiązki wychowawcy w stołecznych bursach i internatach ze studiami w uniwersytecie, gdzie w 1928 r. uzyskał magisterium na wydziale historii. Jednocześnie był komendantem Chorągwi Mazowieckiej w Związku Harcerstwa Polskiego i członkiem Głównej Kwatery. W latach 1933—39 przebywał na Śląsku kierując Centralnym Ośrodkiem Kształcenia Starszyzny Harcerstwa Męskiego.

Dramatyczną, wspaniałą zarazem kartę w życiu Kamińskiego otwiera wybuch wojny. Pełni wtedy szereg ogromnie odpowiedzialnych funkcji w ruchu podziemnym. Redaguje m.in. „Biuletyn Informacyjny", organ Komendy Głównej Armii Krajowej (1939—1944). Pełni funkcję szefa VI oddziału sztabu Okręgu Warszawskiego AK, organizuje akcję małego sabotażu „Wawer". Kieruje oficjalnym wydawnictwem Biura Informacji i Propagandy Okręgu Warszawskiego AK.

Po wojnie wiąże się Kamiński na stałe z Łodzią. Rozpoczyna działalność naukową i pracuje w Uniwersytecie Łódzkim z przerwą w l. 1950—1957. Nadal pozostaje związany z harcerstwem. Od 1945 do 1948 był wiceprzewodniczącym ZHP, a po październiku, gdy ruch harcerski odrodził się na nowo, Kamiński przez rok stał na czele Rady Naczelnej Harcerstwa (1957).

Działalność pisarska zajmowała w poczynaniach A. Kamińskiego miejsce szczególnie ważne. Autor „Kamieni na szaniec" debiutował w 1928 r. na łamach „Płomyka", od razu podporządkowując swe pióro wymogom dydaktyki. Pierwszą książką harcerskiego działacza był „Antek Cwaniak. Książka o zuchach" (1923). Ową pierwszą instruktażową i wychowującą część trylogii uzupełniły: „Książka wodza zuchów" (1933) oraz „Krąg Rady" (1935, dwie pierwsze wyszły po wojnie w 1957). Działając na Śląsku wydał też Kamiński kilka książeczek niedy potem nie wznowionych, m.in. „Oficera Rzeczypospolitej" i „Andrzeja Małkowskiego". W czasie okupacji ukazały się konspiracyjnie „Zuchy" oraz „Wielka gra", a także rozpoczynające okres wielkiej popularności autora i długotrwałych polemik — „Kamienie na szaniec". Książka ta, mająca aż dwa okupacyjne wydania w kraju i jedno londyńskie z 1945 r., do dziś wzrusza i skłania do przemyśleń.

Powieść Kamińskiego niemal na bieżąco, w formie prawie reportażu, tworzyła w warunkach walki z okupantem legendę poległych w boju bohaterskich żołnierzy „Szarych Szeregów". Rola tej książki nie sprowadzała się do dawania świadectwa prawdzie, jej funkcją podstawową było — poprzez porywający przykład — zapewnienie ciągłości akcji „burzenia zła". Sprawy określonego, „wysokiego" stylu, budowy fabuły z pozycji wszechwiedzącego narratorstwa, uproszczeń portretów psychologicznych i pewnych, powieściowo koniecznych niedopowiedzeń i nieścisłości — słowem cała „literackość" tego „reportażu" — były w ówczesnej sytuacji czytelniczej często konieczne i w zasadzie drugorzędne. Lecz po odzyskaniu niepodległości zaatakowano powieść natychmiast. Raziła krytyków właśnie literackość — zbędna ich zdaniem w dokumentarnym zapisie — drażniły faktograficzne luki i poczynione wybory, niepokoiło „rozkołysanie wyobraźni" młodzieży w kierunku destrukcji przy niedostatku elementów pomocnych w „formowaniu zrębów nowego światopoglądu młodzieży".

Motywy takich a nie innych uwag krytycznych oraz generalnej oceny książki Kamińskiego są z perspektywy lat całkowicie oczywiste, tak samo zdeterminowane czasem historycznym, jak sama powieść. Faktem jest także, iż „Kamienie na szaniec" stały się ulubioną lekturą kolejnych pokoleń młodych czytelników.

Równie wielki, a może i większy sukces czytelniczy uzyskała obszerna historia batalionów „Zośka" i „Parasol", która ukazała się w 1957 r. Wśród krytyki odżyły niektóre problemy podnoszone przy omawianiu poprzedniej powieści. Wytykano drobne niedokładności, a przede wszystkim podkreślano drażniący prymat w narracji nazbyt łatwo osądzającego podmiotu autorskiego. Irytował też recenzentów natrętny, upraszczający dydaktyzm. I ta więc kolejna, obszerniejsza postać powieściowej koegzystencji dokumentu, literatury i dydaktyki nie była w odczuciu krytyków sukcesem — odnosząc jednoznaczny sukces czytelniczy.

W powojennej działalności pisarskiej A. Kamińskiego przeważa zdecydowanie twórczość naukowa — z mojego punktu widzenia jest to najwartościowsza część dorobku laureata. Twórczość ta stanowi przykład rzadkiej, a arcylogicznej konsekwencji. Praktyka działacza zastąpiona została refleksją historyka i teoretyka młodzieżowych form aktywności. Skala podejmowanych zagadnień imponuje rozległością i aktualizacją — od sposobów aktywizacji i uspołecznienia uczniów, przez teoretyczną i historyczną analizę młodzieżowej samorządności, po kwestię wolnego czasu, a nawet wychowania ku starości. Najważniejsze są jednak rezultaty pracy podjętej jeszcze w 1949 r. z inicjatywy Heleny Radlińskiej, owe cztery tomy „związków młodzieży" — od „prehistorii" do 1848 r. Pierwsze trzy księgi (wydane w l. 1959, 1963, 1968) dotyczą historii organizacji młodzieżowych, ostatnia: „Analiza teoretyczna polskich związków młodzieży do połowy XIX w." (1971), podsumowuje i uogólnia prawidłowości zaobserwowane w toku prezentacji dziejów stowarzyszeń.

Wartość tych wielkich 4 tomów nie sprowadza się do ogromu zgromadzonych tam informacji i nie można jej mierzyć wyłącznie długotrwałym, upartym wysiłkiem autora na przestrzeni kilkunastu lat (jak świadczą daty wydań). Faktem bezspornym jest, iż dzieło życia A. Kamińskiego zbiera, porządkuje i uzupełnia (chodzi w tym przypadku o t. 4) wiadomości rozproszone w różnych pracach, przede wszystkim w materiałowych studiach Józefa Bielińskiego i Aleksandra Kraushara. Nie zauważone natomiast zostało przez krytykę naukową fundamentalne znaczenie monografii Kamińskiego dla wszelkich rozważań o stratyfikacji i przemianach społeczeństwa polskiego w XIX wieku — zarówno szczegółowych, jak i mających ambicję szerokiego ujęcia problematyki.

Wystarczy tu jeden przykład. Jakże bezprzedmiotowe i oderwane od faktów wydają się niektóre rozważania poświęcone, rocznicowo, powstaniu listopadowemu, których autorzy zapomnieli, że istnieje m.in. dzieło Kamińskiego. Jednym z problemów, jaki dręczył Jerzego Łojka, gdy zastanawiał się nad szansami powstania, była wiara młodych powstańców w patriotyczne intencje elity administracyjnej i generalicji Królestwa, wiara zdaniem autora nieuzasadniona, nie wiadomo skąd i jak powstała. Wystarczające, choć częściowe wytłumaczenie tej sytuacji odnaleźć można w historii związków młodzieżowych prezentowanej i analizowanej przez Kamińskiego. To pamięć czynów weteranów oraz ich patronat w pierwszej fazie działalności stowarzyszeń, a także tradycja mężów opatrznościowych ojczyzny kultywo-

a więc nie nazbyt awangardowego, choć również nie pozbawionego ambicji poszukiwania nowych form. Ambicje i poszukiwania mogą jednak stanowić jedynie część, chyba przy tym nie tę największą, naszego dnia codziennego, naszej codziennej pracy. Tę zaś chcemy poświęcić na solidne inscenizacje, takie właśnie o jakich słyszał i jakie już widywał kiedyś na naszej scenie łódzki widz. Solidne inscenizacje dzieł stanowiących światowy kanon operowy. Inscenizacje i dzieła wymagające bardzo ciężkiej pracy, ale też stanowiące repertuar, jaki winna mieć każda z prawdziwego zdarzenia scena operowa i jaki prawdziwe i wielkie sceny operowe w swej znakomitej większości posiadają.

**— Wielkie sceny operowe mają w swym repertuarze taką ilość pozycji, która dopiero zaczyna się od trzydziestu tytułów. Repertuar Teatru Wielkiego w Łodzi ma ich łącznie z przedstawieniami baletowymi zaledwie kilkanaście...**

— Bo Teatr Wielki nie ma magazynów z równie prawdziwego zdarzenia. Oczom własnym nie mogłem uwierzyć w jakich pomieszczeniach, w jakich miejscach, których nawet domyślić się trudno i w jakich warunkach przechowuje się u nas dekoracje, rekwizyty i kostiumy. Ktoś kiedyś, co pewnie kiedyś będzie temu komuś przez los policzone, skreślił z planu budowę magazynów dla Teatru Wielkiego...

**— Nie wybudowano ich budując teatr?**

— Nie, bo wtedy naglił termin otwarcia gmachu. Potem ta pozycja spadała z planów inwestycji i nawet z planu prac remontowych, w ramach których wtedy jeszcze, jak sądzę, można było budowę tych magazynów jakoś, a choćby i fortelem, zmieścić. Teraz nie mieszczą nam się dekoracje i tak jak kiedyś spadła z planu budowa magazynów, tak teraz spadają nam z bieżącego repertuaru kolejne pozycje, tytuły. Bo z chwilą wprowadzenia do repertuaru nowego tytułu, pod młotek i siekierę idzie któryś z poprzednich, ustępując miejsca. W ten sposób nie rozrasta nam się repertuar, rośnie z latami przygotowany ongiś kosztorys budowy tych magazynów, idą pod tę siekierę wielkie państwowe pieniądze, nie wpływają do kasy kwoty które owe nieraz całkiem jeszcze nie wygrane przedstawienia mogłyby zarobić, teatr nie osiąga niezbędnego progu niezbędnej dla zespołu i publiczności ilości granych na bieżąco oper i baletów i tak toczy się to koło, puszczone w ruch czyjąś fatalną decyzją. Miała ona służyć oszczędności, po latach obróciła się w przyczynę skandalicznego już właściwie marnotrawstwa. Doprawdy słów brakuje, została jednak nadzieja, w przeciwnym razie...

**— W przeciwnym razie?**

— Nie będziemy mogli dać z siebie wszystkiego... A chcemy, naprawdę chcemy... Nie chcemy wszyscy razem i każdy z osobna i ja także, tu zabiorę też głos „osobisty", nie chcemy przykładać ręki do takiego marnotrawstwa. Nie można tego robić z czystym sumieniem, naprawdę, nie da się...

**— Wróćmy jednak do wyników prowadzonej przez pana analizy stanu teatru. Dochodziły nas ostatnio z tego teatru dziwne odgłosy.**

— I pewnie mówiono, że to trudny zespół? Być może, trudny. Ale czy zna pani zespoły, które gromadząc indywidualności tak różne, byłyby zespołami łatwymi? Ta „trudność" zespołów rodzi się w istotnie ciężkiej ich pracy, nam się powinno ciężko i trudno, ale owocnie ze sobą pracować. Te owoce czynią pracę przyjemniejszą, nawet jeśli jest trudna. Dlaczego zresztą człowiekiem łatwym ma być artysta pracujący instrumentem tak delikatnym jak jego własne gardło, instrumentem podatnym nie tylko na chłód i przeziębienia, ale także na stresy i wszystkie niepokoje współczesnego człowieka, instrumentem warunkującym przy tym jego normalną ludzką egzystencję. Śpiewacy dbają o ten instrument nieraz w odczuciu osób postronnych może i przesadnie, ale do tego także mają prawo. Buntują się przeciwko obsadzaniu ich w partiach nieodpowiednich dla danego rodzaju głosu? I słusznie. Mówię tylko o jednej przyczynie konfliktów, jest wiele innych. Walczących zaś o swoje prawa (walczą, bo ich zawodowe życie, tak jak ich zawodowa sprawność są krótsze) najłatwiej nazwać „trudnymi"... Najtrudniej zaś razem z nimi pracować na sukces, ciężko pracować. Artyści opery i baletu pracują naprawdę ciężko. Czy moim zadaniem jest uczynić tę ich pracę lżejszą? Nie, skądże. Chcę natomiast dobrze im, nam, tę pracę organizować, żeby mogli dawać z siebie wszystko, żeby mogli odnosić sukcesy dobrze śpiewając i tańcząc w dobrych przedstawieniach. Sukces zespołu i teatru będzie także moim sukcesem. W Teatrze Wielkim wszyscy chcemy go odnieść. Zależy nam na dobrej organizacji pracy i dobrej atmosferze. Mając ją — dla siebie i innych będziemy może trochę mniej trudni.

**— Jak przedstawiają się plany repertuarowe Teatru Wielkiego?**

— Do końca bieżącego sezonu będziemy realizować wcześniej zatwierdzony repertuar, czyli jak to się mówi „zobowiązania moich poprzedników". Są one zresztą bardzo ciekawe. Będą to: „Fontanna Bachczyseraju" Asafiewa, „Maria Stuart" Twardowskiego, „Symfonia Faustowska" Liszta i „Trubadur" Verdiego.

**— A gdy zrealizuje pan „zobowiązania poprzedników"...**

— Chciałbym, by wśród innych tytułów, a w związku z przypadającymi w następnych sezonach licznymi rocznicami muzycznymi widzowie łódzcy obejrzeli i usłyszeli dzieła Bartoka, Szymanowskiego, Strawińskiego i Tansmana, chciałbym też, by nasze przedstawienia oglądali widzowie poza granicami naszego kraju, wznowimy więc mającą już tak świetne tradycje współpracę z teatrami w Lipsku Tbilisi i Skopje, mam nadzieję, że obejrzą nas i posłuchają bywalcy teatru operowego w Glasgow w Szkocji. Chciałbym też, by więcej młodzieży przychodziło do naszego Teatru Wielkiego, może uda nam się przenieść na grunt łódzki doświadczenia i formy poznańskiej „Pro sinfoniki", chciałbym też by nasz teatr nie pozostawał zbyt długo bez „Halki" — opery narodowej. Chciałbym, by solistów i cały zespół Teatru Wielkiego lepiej poznali widzowie innych ośrodków. Może choć w części wesprze tę moją chęć przeniesienie na telewizyjne ekrany naszej „Włoszki w Algierze"

**— Wspomniał pan o telewizji. Wierni pańscy widzowie pytają czy nie zaniecha pan ich edukacji?**

— Z telewizją będę współpracował nadal. Być może uda mi się zrealizować następny cykl programów muzycznych. Może tym razem będzie to historia opery i baletu. Z udziałem naszego Teatru Wielkiego oczywiście!

**— Panu i teatrowi życzymy powodzenia w realizacji wszystkich przedsięwzięć.**

**Rozmawiała: EWA PANKIEWICZ**

## POEZJA

# OSWOIĆ, BY POEZJĄ SIĘ STAŁO

**„LAPIDARIA" Czesławy Politańskiej — to** kolejna próba odnowy intymnego nastroju refleksji lirycznych, których surowy ton i niezwykła skrótowość graniczą z poetyckim ascetyzmem. Słowa stają się szczelnym parawanem zasłaniającym przeżycia. Ich zewnętrzne sygnały, skąpe i rozproszone, stwarzają wrażenie bezpodmiotowości tej poezji. Jest ona w zewnętrznej swej warstwie jedynie obserwacyjno-spostrzeżeniowa, surowa i wyważona. Lapidarność posunięta do ostatnich niemal granic, nieufność do słów i do świata, uparcie powracający krąg tych samych słów i motywów, a także głęboko skrywana świadomość lirycznego podmiotu sprawiają, że poezja ta jest hermetyczna, oporna na kontakt z odbiorcą — jakby niczyja. Dlatego też prezentowana przeze mnie próba odczytania „Lapidariów" jest jedną z wielu możliwych, a jej fragmentaryczność i niepełność odzwierciedla trudności, z którymi zmagać się będzie wielu czytelników.

Pytanie o własne istnienie, o miejsce w kosmosie i wśród ludzi, o sposób i sens tego istnienia, postawione w wierszu otwierającym tomik, przewija się we wszystkich wypowiedziach. I jemu to podporządkowana została cała sieć poetyckich obrazów i aluzji.

Politańska wykorzystuje wiele motywów występujących już w wierszach Wisławy Szymborskiej, Urszuli Kozioł czy Ewy Lipskiej. Nie odkrywczość zatem, lecz sposób i cel ich wykorzystania stanowią o wartości tej poezji.

Obecny jest w niej pradawny motyw przemijania. W uwypukleniu przemienności dnia i nocy, stanu czuwania i snu, przyjścia i odejścia, życia i śmierci, potwierdzony zostaje nie tylko wieczny porządek istnienia, lecz także stan wahań, niepewności i oscylowania między przeciwległymi biegunami poetyckiej świadomości. Jednostka pragnie przekroczyć granice własnej cząstkowości i włączyć się w świadomość szerszą, ponadindywidualną, co z kolei budzi chęć „oswajania" innych form bytu („Oczy planet chodzą po ziemi"), zbratania z tym, co odległe, tajemnicze i nieznane.

Przemijanie określające trwały porządek wszechrzeczy prowokuje jednocześnie do poszukiwania tego, co zdoła mu się oprzeć, co jest ostoją i niewzruszoną podstawą różnych form istnienia. Stąd bierze początek motyw „zakorzeniania", symbolizujący powrót do miejsc stałych, do wartości jedynych i ostatecznych. Łąka, kamień, las, drzewo, pole, mech — do nich poetka odwołuje się najczęściej. Stereotypowość i powszechność ich zastosowań w poetyckiej tradycji nie umniejszają roli, jaką odgrywają one w „Lapidariach". Są nie tylko poetyckimi symbolami. Przemawiają językiem magicznych zaklęć i zamawiań. Odsyłają do tego, co najbardziej naturalne, co jest wieczną formą życia, co stanowi ochronę przed nietrwałością tworów ludzkich i co nieść może ukojenie. Za parawanem słowa-zaklęcia kryje się lęk.

Poszukiwanie nie przybiera natomiast form introspekcji, gdyż stąd byłby już tylko krok do tak częstego w poezji współczesnej egocentryzmu i nieustannego zwiększania odległości między sobą a światem zewnętrznym. Ocalona zostaje wartość i piękno otaczającego świata. Przezwyciężenie egocentryzmu kieruje nas ku światu, w którym trwa poszukiwanie, są odejścia i powroty, i gdzie prowadzi się obrachunki moralne. Wzrasta w nim pragnienie odstraszenia, zażegnania nienawiści, zdrady i kłamstw, obłaskawienia zła, żeby dobrem się stało, a śmierć nabrała innego wymiaru. Politańska nie pozwala sobie ani na łatwy optymizm ani na efektowny ton katastroficzny. Stroni od wywoływania w czytelniku nagłych wstrząsów. Poprzez wyciszanie tonu, przeciwstawność znaczeń, niedopowiedzenia, wieloznaczność sformułowań czy też wydobywanie z gry słów ich walorów semantyczno-brzmieniowych próbuje oddać stan niepewności, wahania i gorycz niemożności całkowitego ogarnięcia poznaniem samej siebie i tajemnic natury.

Funkcja magiczna tej poezji znajduje wyraz także w języku, którego efekty brzmieniowe stwarzają osobliwy rytm na pograniczu muzyczności i plastycznych wyobrażeń. **Każdy wiersz stanowi ogniwo obrzędowego łańcucha.** Nie zatytułowane, prawdziwie lapidarne, oszczędne w doborze tropów stylistycznych, utwory te skupiają swą moc w tym, co tkwi poza słowem-zaklęciem, co jest czymś więcej niż tylko językiem, refleksją czy motywem.

„Lapidaria" dalekie są od ckliwej liryczności duchowego ekshibicjonizmu i prozaizacji. Ogarniają niezbyt rozległą ani oryginalną skalę motywów, co jednak przy tego typu liryce nie wydaje się jej słabością, lecz świadczy raczej o świadomym wyborze. Poezja ta dyskretnie i z umiarem czerpiąca zarówno z tradycji poetyki modernistyczno-skamandryckiej, jak też i z najnowszych osiągnięć, jest wyrazem dążenia do integracji człowieka z naturą i mitem. Jej głos ma pośredniczyć między tymi trzema ogniwami, ma ocalać i łączyć to, co zostało rozerwane, a co niegdyś stanowiło jedność.

**LUCYNA GERUS**

**Czesława Politańska „Lapidaria". Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1980. s. 96, cena 10 zł. („Biblioteka Debiutów" pod red. Jerzego Jarmołowskiego).**

# LIRYKA — JAK KRZYŻ NAD TABU

**Takim sformułowaniem kończy się nowy tomik Jerzego Feliksiaka (urodzonego w Łodzi w 1931 roku), autora zbioru wierszy „Zamiast emblematu" (1963) i tomu opowiadań „Studencka niedziela" (1967), goszczącego również stosunkowo często na łamach literackich tygodników i miesięczników. W liryce Feliksiaka przewijają się konsekwentnie trzy obszary spraw: 1. fascynacja historią, odnajdywanie jej udziału w teraźniejszości (Feliksiak jest z wykształcenia historykiem i w sposobie myślenia uważa się za lennika „nauczycielki życia"); 2. dostrzeganie niezmienności opozycji natura—cywilizacja (bardzo często egzemplifikowanej realiami łódzkimi); 3. ubolewanie nad własnym pogmatwanym losem, bolesny jęk rozpaczy i protestu (gdzie zwątpieniu towarzyszy jednak chęć sprostania wszelkim przeciwnościom).**

Wprawdzie na okładce tomiku możemy przeczytać wyznanie poety, ujawniające, iż jego „światopoglądem poetyckim jest realizm", lecz lektura „Lenna" utwierdza w przekonaniu, że ów realizm jest pojęciem bardzo umownym, dotyczącym raczej świata rekwizytów, aniżeli samej postawy twórczej, opartej o swoistą nastrojowość (cóż z tego, że wyraźnie nieraz maskowaną), postawy, dla której przedmioty realnie istniejące, jak również pojęcia, okazują się jedynie atrybutami poetyckiego przeżycia (niekiedy zaś przeżywania, procesu ledwie zaczętego).

Jeśli lekturę tomiku wesprzemy znajomością niektórych faktów z biografii poety — to łatwo dojść do przekonania, że twórczość Feliksiaka okazuje się jedynym sensem jego życia, że wiersze spełniają funkcję sui generis remedium w okolicznościach, w jakich się ich autor znajduje. Tym tragiczniej przeto brzmią momenty zwątpienia nawet w poezję:

Jak krew z twarzy poezja
odpływa.
Słowa bledną. Tętno wiersza
słabnie.
Pod żebrami już wygasł żar
pragnień.
Żółć i smutek spłynęły do
wyznań...
(„Czyściec")

**Wie bowiem autor „Lenna", że wcześniej czy później w odniesieniu i do życia, i do poezji, pojawić się musi pytanie Stendhala: „To tylko tyle? To tylko tyle?" I wie, jak trudno na owo proste zapytanie znaleźć odpowiedź.**

Warto wspomnieć, że Feliksiak przez całe życie związany jest z Łodzią, czego wyrazem okazują się liczne utwory (na przykład „Przed fabryczną bramą", „Łódź", „Starzy tkacze", „Pomnik Naczelnika w Łodzi") zaświadczające bardzo wyraźny związek poety z rodzinnym miastem i dające jednocześnie świadectwo interesującego poczucia humoru. Wszelako „nie przez łódzkie kawiarnie przebiega równik życia", bliżej do niego na przykład z przedmieść, prostych i surowych, wypełnionych kompleksami, alkoholem i „goryczą ziół". W wierszach Feliksiaka dużo tej goryczy, dużo niespełnień i zawodów. Ratuje go przed tym wszystkim wędrówka w historię, a właściwie w Historię, bo rzadko obywa się bez patosu.

„Życie jest większą zagadką niż się niektórym zdaje" — napisał w „Jądrze ciemności" Joseph Conrad i słowa te przychodzą na myśl również podczas czytania „Lenna", nie ulega przecież wątpliwości, iż jego autor też znajduje się w jakimś „jądrze ciemności", z którego bezskutecznie — jak dotąd — usiłuje się wydostać. I nad tym właśnie tabu rozprzestrzenia się liryka.

**TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI**

**Jerzy S. Feliksiak, Lenno, „Biblioteka Poetycka", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1980, s. 73, nakład 1.700 + 300 egz., cena zł 20.**

# — PISARZ I UCZONY

wzbogacenia się". „Wszyscy poza podchorążymi i intelektualistami warszawskimi mieli dużo do stracenia" („Twórczość" 1980, nr 11, s. 85). Gdyby autor znał pracę Kamińskiego, to prawdopodobnie dopisałby: „i poza alienującą się ze społeczności szlacheckiej młodzieżą" — drugim lub pierwszym pokoleniem polskiej inteligencji. A nie była to mała liczba — jak dowodzą choćby słowniki biograficzne studentów Wilna i Warszawy (opracowane przez Ludwika Jankowskiego i Rafała Gerbera), i nie była to błaha siła — jak uprzytomnia to choćby Kamiński.

Właściwym więc tropem idzie, analizując zagadki społeczne powstania, inny reprezentant łódzkiego uniwersytetu, Alina Barszczewska-Krupa, gdy w wyniku przeprowadzonych badań akcentuje (w referacie na sesji Intytutu Historii UŁ poświęconej powstaniu), iż spośród tysiąca akademików-uczestników powstania mimo deklaracji przeważnie szlacheckiego pochodzenia — aż ponad 50 proc. stanowiło już inteligencję, często w drugim pokoleniu. Ale łódzka badaczka zna i wykorzystuje zarówno pracę Gerbera, jak i Kamińskiego.

Działalność stowarzyszeń młodzieżowych, zaprezentowana przez autora „Kamieni na szaniec", łączy się nierozerwalnie z powstaniem i rozwojem polskiej inteligencji. Tych dwóch zjawisk nie można i nie da się rozdzielić. Młodzi związkowi w wielu przypadkach nie mieli już gdzie wracać — zostawali w mieście i zaczynali żyć z pióra.

Gdybym wziął po rodzicach
albo jakimś krewnym
Wioskę jaką intratną
z kapitałem pewnym

— wzdychał Ferdynand Chotomski w 1821 r.

Często jednak nawet tym, którzy posiadali możliwość powrotu na wieś, zasiedziałość ziemiańskiego żywota wydawała się odstręczająca.

Stolica i wojskowe powołanie najmniejszej dla mnie nie mają ponęty — zwierzał się Eustachy Januszkiewicz swemu mistrzowi, Lelewelowi — lecz i z drugiej strony, osiadłszy w domu, nie chciałoby się na tym zamykać zawód życia wiosennego — samo nawet wspomnienie nudnego przywiązania siebie do monotonnych gospodarskich zatrudnień najstalszy umysł przerazić zdoła.

Prace Janowskiego, Gerbera, Janiny Kamionkowej („Życie literackie w Polsce w pierwszej połowie XIX w.") oraz fundamentalne dzieło Kamińskiego dowodzą jak wielką siłą społeczną stała się w początkach XIX wieku młodzież, która zdobywszy doświadczenia polityczne w działalności związkowej, zasilała szeregi pracującej inteligencji. Brak możliwości rozwoju oraz realizacji zamierzeń w ówczesnych warunkach społecznych i narodowych (akcentowano kiedyś ten problem omawiając losy szkoły podchorążych) — pchał młodych do czynu. W tym także — do powstania narodowego.

Monografia Aleksandra Kamińskiego poświęcona organizacjom młodzieżowym pierwszej połowy XIX w. stanowi niepodważalną dokumentację tego procesu, dokumentację, której nie można pominąć bez groźby oderwania się od ziemi w nowych — na siłę; groteskowych „figurach" historiozoficznej akrobatyki.

## TADEUSZ GICGIER

# STARY LEŚNIK

Nie tu już po nim,
bo młodsi
wzięli tę włość we władanie,
oni znakują drzewa do przecinki,
prześwietlają las.
A przecież w to chłodne przedwiośnie
chodzi po lesie,
odchyla ubiegłoroczne liście dębu
wycięte ze starego, pomarszczonego pergaminu,
bardziej domyśla się młodych kiełków
niż je dostrzega,
dotyka pąków krzewiny
jakby chciał je ogrzać ciepłem swej dłoni
i przyśpieszyć rozwarcie
nieufnej powłoki,
bo wie,
że kiedy ona się otworzy —
pękną tamy wiążące zieleń,
ocean drzew
rozpieni się promieniami,
eksploduje źródło
w gardle leśnego ptaka,
otworzą się na przestrzał łąki
i polne przestrzenie,
rozewrze się niebo
i rozstąpią góry,
ukazując zielony świat
pełen świergotliwych strumyków.

Kwiecień 1980

* * *

Bazylemu Bończakowi

Tak więc przywdziałeś togę, prorektorze,
co pięknie kontrastuje z posrebrzoną głową,
a w głowie równolatka ciągle jest zielono
i jakoś w twą powagę uwierzyć nie może.

Cóż nerwice, cóż stresy, natrętne gryzonie,
cóż arytmie, te obaj jednakowo znamy,
lecz w tak zwany wir życia przecież się rzucamy,
byle tylko nie zwolnić, nie wiec się w ogonie.

Niegdyś to nazywano buńczucznie wyzwaniem
przeznaczeniu, losowi, i latom, i światu,
a nam po prostu trzeba luźniejszych krawatów,
swobodnego oddechu, nie ściśniętej krtani.

# SPÓŹNIONA MŁODOŚĆ

Niebezpiecznie trącać w tę strunę:
brzdęknie pięknie i pęknie.
Nie jak harfa rażona piorunem,
lecz jak myszy pisk nadepniętej.

Nie pomogą zaklęcia ni gusła,
wiązanie pękniętej struny:
ściśnie gardło twardy guzeł supła
z lat spleciony podwójnych.

* * *

Świat za oknami szpitala realny
jest teatralną tylko dekoracją:
stare topole przeobraził w palmy
kot, który stąpa z napuszoną gracją.

Idą przechodnie, grając wyuczony
spektakl, poczęty z drętwej wyobraźni:
krok każdy sztuczny, głębokie ukłony,
rozwarcie ramion w pozorze przyjaźni.

To, co prawdziwe, jest tu: bólu grymas
kurczący twarze, ściskający szczęki,
tampon nasiąkły krwią, na płytce wymaz
i na pościeli rys wychudłej ręki.

15.XI.1980

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Rys. Janusz Szymański-Glanc

## JERZY JARMOŁOWSKI

# RONDA SZLACHETNE I SENTYMENTALNE

## introdukcja

tyle umiemy co po gwiazdach chodzić
po pąkach kwiatów czułkami przebierać
składać ofiary wulkanom powodziom
tyle umiemy
i potrafimy jeszcze pięknie śpiewać
wspaniałych ludzi potrafimy rodzić
jak jednodniowe owady umierać
tyle umiemy

## rondo dla kwitnących tulipanów

czyż nie jest piękne że więdnie tulipan
raz jeden teraz i się nie powtórzy
jak kropla wina co spada z kielicha
czyż nie jest piękne
że umieramy w nie naszej podróży
a w tulipanie śmierć nas tuli cicha
i że śmierć własną przyjdzie nam powtórzyć
czyż nie jest piękne

## rondo na kałuże i stopy bose

nic nie zrozumiesz niczego nie pojmiesz
jeśliś we włosy dłoni nie zanurzał
i nie pił wody otwartymi dłońmi
nic nie zrozumiesz
choćbyś z ksiąg wracał po zacnych podróżach
i swą mądrością innych darzył hojnie
jeśli nie biegasz boso po kałużach
nic nie zrozumiesz

## rondo tej która przychodzi

która przychodzi a bywa że śliczna
jutro w pościeli gdy dzisiaj w snach gości
i czarnowłosa jest i jest pszeniczna
która przychodzi
tylko dlatego że wstyd nam czułości
taką powagę ma świeca gromniczna
równiśmy w śmierci nierówni w miłości
która przychodzi

## rondo na płot i wróble

i tak jest dobrze że giniemy w locie
że nim przyszliśmy a już odejdziemy
żeśmy tu tyle co ptaki w przelocie
i tak jest dobrze
że śród galaktyk śród wieków miniemy
nie wiedząc nigdy — my wróble na płocie —
ni skąd wyszliśmy ni dokąd idziemy
i tak jest dobrze

## ANTONI KASPROWICZ

# JAREMIADA PIJANICY

Dlaczego łeś mnie boska Mnemozyne
upiła mocnym starogreckim winem,
żebym dziś pracą umęczonych ludzi
w klubach fabrycznych
lirykami nudził?

Coś uczyniła ze mną Mnemozyne,
że z napotkanym
na drodze kretynem
dzielę się słowem
jak Bożym opłatkiem,
by po rozstaniu
zapłakać ukradkiem.

Coś uczyniła ze mną Mnemozyne,
że teraz każdej
cierpiącej zwierzynie
gotowy jestem
całować kopyta
i nad ich losem
jak kundel skowytać.

Kiedy szczęśliwi
śpią w swych łożach miękkich
ja czuwam
chory
z gniewu i udręki,
albo się zrywam nagle
przerażony
krzykiem walczących
czołgami miażdżonych

Gdzie trzeźwi chmury
w piorunowych błyskach —
ja widzę skały
i groźne urwiska
i słyszę jak w ich
przepaściach głębokich
ryczą wichury
i rwące potoki.

Dziś na wieżowcu
nie lampę rtęciową,
lecz jasną tarczę
widzę księżycową
jak emanuje
zimnym seledynem...
Coś uczyniła ze mną Mnemozyne?

Gdy syci w knajpach
albo na różańcach,
ja wśród cierpiących
szukam pomazańca,
i do chorego przychodzę sąsiada,
gdzie umęczony
na łożu przysiadam,
prosząc o cardiol
i diprophyllinę...
Coś uczyniła ze mną Mnemozyne?

# O ZMIERZCHU

Nieraz w zielonych
głębinach Bałtyku
pławiłem oczy o wieczornym zmierzchu,
słuchając syren
buczących z okrętów
stojących w porcie Kłajpedy
na redzie

W toczonym piasku
o barwie bursztynu
leżąc
na płynny spoglądałem masyw
ujarzmiający
miliony jestestw
pożerających się w mrocznej głębinie.

Kiedy księżyc
z podwodnych odmętów
wzniósł się żeglując
nas groźnym akwenem,
to dziwnym lękiem
wzbierało mi serce
atawistycznym lękiem troglodyty —

I spoglądając
na wodne kipiele
samotny
wobec ich strasznej potęgi
czułem
jak w trwodze powoli zanikam —
by wreszcie
ziarnkiem przybrzeżnego piasku
w nadpływającej
pogrążyć się fali...

# WEEKEND

W soczystej trawie
nie skoszonej
wchłaniam dymiące
aromaty,
pod powiekami
czarne płaty
wibracje słońca
wypalone.

Wyrwany z burzy szalejącej,
w biedżeńcach
mleczach
i podbiałach,
wygrzewam chory
i cierpiący
gnijący zewłok swego ciała.

Ogromem niebios
przywalony
w otchłań zapadam się słoneczną.
W oczach — pożary
w uszach — gromy,
to ery toczą swe furgony
spękaną Drogą Mleczną.

## MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

# RACHUNEK

Wyniesiony na klaszczących rękach
Wyskandowany w światłach rażących
Mnie słuchającemu i wam patrzącym
Jako dobra moneta wmawiany.

I teraz ten pieniądz w palcach trzymamy
Wstyd parzący i wart tylko klęski.
Bo jeżeli prawdą jest serce chore
Co w drodze mrokiem przecięte stanęło
To Naród przed śmiercią uchronił.

1980, listopad

# OCALENIE

Wydalona z Ojczyzny Biblioteki
Na bruk zapomnienia.
Przekreślona stemplem jak żelazny krzyżak
Wypędzona z własnego Ocalenia.

Ja ze wstydu płonąc
Taką kupowałem z ucieszenia
Leżącą między pięciogroszówkami.

Siepacze przyszli
W nocy wywlekli śpiącą książkę — sny sen?

Z kurzu ocierałem posiniaczone kartki
Tak czułem — z twarzy Poety otarłem łzę.

1980, listopad

# WKŁADAM MIĘDZY BAJKI

Wszystkiego brakuje.
Kupiłem buty, ale oba na prawą nogę.
Kupiłem marynarkę, ale z jednym rękawem.
Kupiłem jabłko, ale z robakiem w środku.

Inne rzeczy, które wreszcie też kupiłem
Wkładam między bajki
Napisane dawno, dawno, przez naszych politycznych Andersenów.

Wszystkiego brakuje
Także Boga na ziemi, bo w niebie chleba aniołów
Mają pod dostatkiem.
Wszystkiego brakuje:
Dla ludzi czystego powietrza.
Dla rybek muszek w akwarium.
Dla dzieci grzechotek prawdomównych.
Dla słów słowa honoru.

Puste są półki i ręce.
Statuty owszem na płotach pieją,
Ale z tego rosołu jednak już nie będzie.

# ŁÓDŹ

Nie lubię tego miasta Omijam w mojej poezji
Nie cierpię tych murów rewolucyjno-secesyjnych
Wypinających z okien drobnomieszczańskie pupki
Tutaj gdzie bubki drzewami rządzą które chcą się tylko zielenić

Psom tu najgorzej A najzasłużeniej Członkom Towarzystwa Przyjaciół
Zwierząt Poeci tu karłowacieją w olbrzymy
Tutaj wieją wiatry dźwigając toaletowy papier

Tradycje rewolucyjne powpinane w klapy
Martwych Muzeów ożywianych od Czasu do Akademii
Nagim Królem Który wyjeżdża i widać jak na dłoni
Ilu tu kelnerów A malarz może jeden
Ale ten Strzemiński który chciał miastu temu
Przychylić słońca I uczynił I umarł w opuszczeniu
Słońce mając w otwartych oczach i jego powidok

Może jestem niesprawiedliwy Może i ślepy
Na oczy i serce Bo przecież żyje tutaj w końcu
I tu metr mej własnej ziemi na mnie czeka
Być może Nie wykluczam kluczem od mieszkania
Mojego spółdzielczego A jednak coś jest w tym
Złego

# 10 LISTOPADA 1980 ROKU

„Listopad to dla Polaków niebezpieczna pora —"

Belwederczycy z martwych powstają ze schodów
I obok tego pierwszego z narodu
Siadają przy stole.

Wyspiański w drzwiach Sądu jak śmiertelna cisza
Zbielałymi szepcze wargami: „Chryste, dramatu nie muszę pisać".

Liście w alejkach szur szur szur — — —
Z bramy Łazienek wybiega chyłkiem
Wielki Książę Konstanty spocony jak szczur.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

# RFN po latach

### 1. FRANKFURT

Po trzydziestu pięciu latach jestem znowu we Frankfurcie nad Menem. Ogromne szklane sklepienie nad peronami dworca głównego wydaje się stare, czarne od spalin, wysłużone. A przecież wtedy go nie było, była kupa żelastwa, pociągi stawały trochę dalej, na miasto prowadziły dwa przejścia: jedno dla Niemców, gdzie sprawdzano bilety, drugie dla umundurowanych aliantów, których tylko czasami zatrzymywali rośli Murzyni w białych hełmach z napisem „MP" — Military Police. Takie głupstwo — osobne przejście — już dawało w tamtym czasie maleńką satysfakcję nam, znękanym tyloma klęskami, złaknionym smaku zwycięstwa.

Można było przejść przez tę aliancką furtkę, ale niełatwo było dostać się do dzielnicy, w której urządził się sztab generała Pattona z niezliczonymi przybudówkami. Wchodziły tam bez przeszkód starannie dobrane, piękne dziewczęta niemieckie, opięte, jaskrawo wymalowane, ale nie mogli wejść polscy żołnierze i oficerowie z obozów jenieckich i innych. Niemki legitymowały się pracą w amerykańskich kantynach, biurach, sklepach, snack-barach. My zamiast legitymacji nosiliśmy wciąż jeszcze obskurne blaszki z wybitym numerem jenieckim. Czarnoskórzy żandarmii ważyli te blaszki na dłoniach i nic im one nie mówiły.

Nie poznaję w tym mieście niczego, nic nie jest podobne do zapamiętanych obrazów. Inaczej będzie w maleńkim, nadgranicznym Monschau, ale o tym muszę osobno, nie teraz. Frankfurt wchłania mnie zaraz po wyjściu z dworcowego tunelu, tu się wsiąka bez reszty w tłum. Niesamowita orgia towarów na Zeilstrasse (według prospektu turystycznego: „ulica największych obrotów handlowych w Republice"), zamienionej w wielki handlowy pasaż bez ruchu kołowego, ogłusza i w pierwszej chwili przyprawia o oczopląs. Po dwóch godzinach już się objętnieje na wszystko i tak jakby zaczynało brakować oddechu, przestrzeni, swobody: dość już tej porcelany, tych setek tysięcy kufli ze szkła, cyny, gliny, drzewa, żelaza, tych przedmiotów do niczego nie służących, prócz tego, że są i można je kupić, że trzeba je kupić, trzeba coś bez przerwy kupować, przebierać, węszyć. Byłoby niemądrą pruderią twierdzić, że nie ogarnia tu przybysza ze wschodniej Europy łaskocząca niemile zazdrość na widok sklepów z artykułami pierwszej potrzeby. Te sklepy to oczywiste i dla normalnego człowieka nieobojętny przejaw zamożnego życia, wyzwolonego z elementarnych ograniczeń. Ale ta cała reszta — ten nadmiar przesuwający proporcje pomiędzy rzeczą a człowiekiem, pomiędzy „być" a „mieć", ten wymuszony przez molocha produkcji kult przedmiotu — to wszystko sprawia, że zaczynam oglądać się za innym obliczem miasta, szukać jakiejś jego — mówiąc bardzo po starościecku — duszy, indywidualności. Może znajdę ją na Starówce?

Ludzi całego świata, ale Niemców w Republice Federalnej przede wszystkim, opanowała nieprzemożna „Wanderlust" — chęć wędrowania, mania podróży. Co drugi spotkany gdziekolwiek człowiek to turysta, nietutejszy. Turyści — tak właśnie, jak ja — zaczynają zaliczanie każdego miasta od jego części najstarszej, spodziewając się znaleźć tam jakiś trącący myszką autentyk, jakieś przesłanie dawnych wieków, kiedy ludzie żyli po swojemu i dlatego byli różni, ciekawi, prawdziwi. Ba — handel wie dobrze, gdzie czyhać na klienta. Najstarsze dzielnice miast, które zwiedziłem, a mogę bez ryzyka rozszerzyć to twierdzenie na wszystkie miasta Republiki, zamieniono na nieustające, tętniące dniem i nocą targowiska. Wąskie ulice — jeśli się zachowały — świetnie nadają się na pasaże handlowe. Przebudowane partery stały się jednym ciągiem magazynów, wąskich zdawałoby się od frontu, a rozrośniętych niebywale w głąb, wpełzających pod ziemię i na piętra, krzyczących jaskrawym światłem, muzyką, kolorami rozrzutnych opakowań. Nad rozjarzonymi parterami nikną z oczu stare fasady, gzymsy, rzeźby i cymelia: wcale tego nie widać. Tam już nikt nie mieszka, tam są jeszcze inne sklepy, zaplecza, pracownie i „małe kina". Małe, ale nie takie, o jakich pisał Konstanty Ildefons. To są kina porno.

Na jednym tylko placu frankfurckim — na starym rynku — usiłują władze miejskie zachować pozory autentyczności. Sporo tu było zniszczeń i nieliczne tylko domy pozostały w swej historycznej postaci. Niektórym przywrócono dawny wygląd: oto trzy duże mieszczańskie kamienice z XIV wieku — „Römer" — których nie omieszka pominąć żaden przewodnik po Frankfurcie. W 1420 roku te trzy kamienice przebudowano wewnątrz, „zintegrowano" i adaptowano na ratusz. Obok istnieje i wciąż wierna jest swej roli starenka knajpa „Alten Limpurg", gdzie dziś tak jak przed setkami lat pije się piwo w mrocznych pomieszczeniach, patrząc przez małe, kolorowe okienka na stojący pośrodku placu kościół Świętego Mikołaja.

Plac przylega do Menu. Z wieży kościoła odtrąbiano każdy statek, nadpływający rzeką, dopóki w XVI wieku nie zamieniono starej już wtedy świątyni na... magazyn. Magazynem była przez dwieście lat, potem znów stała się i jest do dziś ewangelickim domem modlitwy. We wrześniu bieżącego roku odbyła się tu ciekawa impreza, możliwa tylko w świątyni protestanckiej. Oto proboszcz tutejszej parafii, wielebny Christof Warnke, zaprosił prezydenta Frankfurtu, doktora Waltera Wallmanna, na publiczną dysputę nad fragmentem biblijnym z pierwszej księgi Mojżesza, tym mianowicie fragmentem, w którym prorok wspomniał o najstarszym mieście świata — Henoch, zbudowanym przez mordercę — Kaina. Stąd temat dysputy, która stanowiła niejako „załącznik" do uroczystej mszy świętej:

„Czy bratobójca Kain jako budowniczy pierwszego miasta spowodował, że miasto jest wspólnotą niszczycielską?" („mörderisches Gemeinwesen").

Prezydent przyjął zaproszenie i zakończył dyskusję słowami:

„Nie mogę zaręczyć, że nasz Frankfurt jest miastem idealnym w sensie chrześcijańskich proroctw. Nie jest on na pewno miejscem świętym. Jest jednak miastem, które ma prawo do tego, by je kochać".

Jak widzimy, Mojżesz też może być pomocnym przy budzeniu uczuć patriotycznych, nie mówiąc o popularyzowaniu tzw. sylwetki pana prezydenta.

W pobliżu kościoła Świętego Mikołaja stoi jeszcze od niego starsza katedra: jej najbardziej lecjwa część to zbudowana w 850 roku kaplica świętego Bartłomieja, wzniesiona dla złożenia zdobytych wtedy właśnie prochów tego świętego. Tu od XIV wieku odbywały się koronacje cesarzy niemieckich. Parę ulic dalej, w trzynastowiecznym klasztorze karmelitów, mieści się dziś muzeum rzemiosła artystycznego. Cóż, nie mam siły na muzeum: cały dzień krążę po ulicach miasta. Posilić się można co parę kroków, mnóstwo barów, rożnów, kiosków — ale tylko na stojąco. Obiad przy stoliku kosztuje za dużo czasu i za dużo marek. O tej porze roku przysiąść w parku byłoby za zimno. Jak długo można chodzić i tylko chodzić? Pozostaje jedyna możliwość taniego, bo bezpłatnego odpoczynku: w kościele, gdzie przy okazji można poczytać wyłożone tam parafialne i „dobroczynnościowe" pisemka.

W jednym z takich pisemek znajduję wiadomość o zamierzonej budowie we Frakfurcie wielkiego muzułmańskiego meczetu. Generalny sekretarz Światowej Ligi Muzułmańskiej na Europę, urzędujący stale w Londynie Salim Azzam, przyjął niedawno delegację mahometan z RFN i podjął decyzję zwrócenia się zarówno do władz naczelnych Ligi, jak i do rządów wszystkich krajów mahometańskich, z prośbą o sfinansowanie sprawy. Popłynie szeroka rzeka petrodolarów, stare niemieckie miasto nad Menem stanie się — tak oświadczył świątobliwy Salim Azzam — międzynarodowym centrum kulturalnym islamu. Któż by coś takiego przypuszczał w tamtym maju, 35 lat temu! W nowym meczecie — a nie wątpimy, że przyćmi on wspaniałością i przepychem najcenniejsze pomniki „tubylczej" kultury — będą bić czołem o ziemię robotnicy z Turcji, Algieru, Senegalu. Zwłaszcza Turcy: to oni rozbudowują frankfurckie metro, ładują wagony na wszystkich dworcach i bocznicach, zamiatają o świcie puste ulice. Hot-dogi serwują złaknionemu przechodniowi Turcy.

Znaczną część klienteli w domach towarowych i magazynach stanowią również robotnicy cudzoziemscy i ich zalęknione, egzotycznie nieraz ubrane rodziny. Nie wiem, jak są traktowani ci ludzie w miejscu pracy. W sklepach podbiega do każdego natychmiast uśmiechnięta sprzedawczyni i pozostaje uśmiechnięta i grzeczna do końca, choćby klient nie mógł się dogadać, choćby wybrzydzał i niczego wreszcie nie kupił. Nocą po przesiadce w Meinz (Moguncja) wszedłem do przedziału razem z kilkoma Włochami. Byli w brudnych roboczych kombinezonach, a na ławce rozciągnięta spała sobie elegancka pani. Jeden z Włochów trącił ją bezceremonialnie w ramię: „E, Frau, Platz!". Dama podniosła się natychmiast i wszyscy mogliśmy wygodnie usiąść. To są sprawy „fasadowe", problem gastarbeiterów wcale nie jest w gruncie rzeczy ani prosty, ani nazbyt sielankowy.

W księgarniach wielkie materii pomieszanie. Klasycy starzy i nowi, sławy światowe — w tłumie i ścisku literatury wagonowej, kryminalnej, buduarowej. Trzeba długo i wnikliwie lustrować tytuł po tytule, nic tu się z niczego nie wyróżnia, rzadko zobaczysz gdzieś szczególnie wyeksponowaną pozycję jakiegoś aktualnego szlagieru. Sam przegląd tytułów, a już na pewno przekartkowanie paru reklamowych katalogów wydawniczych, stanowi lekturę interesującą. Pomówimy o tym później.

### 2. NIEMIECKIE LEKTURY

Jest koniec października, prasa zachodnioniemiecka co dzień donosi o wydarzeniach w Polsce. Na pierwszych stronach wielkich i małych dzienników — zdjęcia kardynała Wyszyńskiego i Lecha Wałęsy. Komentarze pełne niepokoju, poważne, nie czuje się w tym pogoni za łatwą sensacją. „Za Polaków można się już tylko modlić" — pisze „największy chrześcijański tygodnik Europy" — „Neue Bildpost". To samo pismo — w związku ze zbliżającą się wizytą papieża — zamieszcza kupon, który po podpisaniu i wycięciu ma być wysłany pod adresem redakcji. Kupon nosi tytuł: „Ojcze święty, oto nasza wierność!" i zawiera pięciopunktowe ślubowanie wiernych. Punkt drugi brzmi: „Chcemy prosić Matkę Boską o nieustającą pomoc, a szczególnie o pokój na ziemi", zaś punkt piąty: „Chcemy konsekwentniej niż dotychczas bronić prawa do życia tych, którzy się nie urodzili". Chodzi oczywiście o zakaz przerywania ciąży, która to sprawa już od paru lat stanowi przedmiot wielkiej publicznej dyskusji w Republice. Dyskusja ta spolaryzowała wyraźnie opinię publiczną i stała się jedną więcej przetargową pozycją polityczną — autorytet Jana Pawła II został więc nie bez kozery przywołany akurat w okresie szczególnie nasilonych walk przedwyborczych. Znajduję też „cytat miesiąca" z wrześniowego przemówienia papieża na Monte Cassino: „Jeder Krieg ist Brudermord". Każda wojna jest bratobójstwem... Kto jeszcze pamięta Monte Cassino tak, jak się pamięta sprawy najbardziej osobiste? Zagubieni w lagrach zachodniej Europy szlochaliśmy ze szczęścia, gdy dotarła do nas wiadomość o odniesionym tam polskim zwycięstwie. Ale to nie są przeżycia z kategorii wiecznych, nadludzkich, jakimi operuje głowa Kościoła...

Stoiska i książki z prasą oślepiają bajeczną tęczą kolorów. Rzecz charakterystyczna: wychodzi tu wielka ilość tygodników — opasłych, dwustustronicowych, bogato ilustrowanych i świetnych pod względem graficznym; otóż wszystkie te tygodniki mają identyczny format i prawie identyczne rozwiązanie strony tytułowej. Jest to na pewno wynik wielkiej centralizacji przemysłu poligraficznego, produkcji masowej, wielkoseryjnej. Widocznie opłaci się obniżyć koszt druku, nie bacząc na obniżającą się przy tym atrakcyjność sprzedażną pisma. Tę atrakcyjność redakcje tygodników usiłują osiągnąć drogą prześcigania się w sensacji i seksie, eksponowanym doprawdy bez umiaru. Seks zdominował prasę, widowiska, rozmowy towarzyskie i krajobraz uliczny. Przy niezmiernej swobodzie obyczajów dziwnym wydaje się nastrój nieomal dewocji, kruchty, purytanizmu, spotykany tuż obok reportaży z tajlandzkich domów publicznych i obok ogłoszeń setek masażystek, kandydatów do „zabaw intymnych we troje" i różnej maści odchyleńców.

Oto czym się na przykład zajmuje rubryka odpowiedzi redakcji: „Mamy wielki problem z naszą córką. Jest bardzo pobożna i wybrała zawód nauczycielki religii. Niedawno zapytała, czy może zaprosić na obiad swą sympatię. Młody człowiek znalazł się po raz pierwszy w naszym domu i przy stole, przed jedzeniem, nie przeżegnał się...!" i tak dalej. Stroskana matka pisze o rozmowach, które przeprowadziła z córką chcąc ją odwieść od podtrzymywania przyjaźni z bezbożnikiem. Na próżno! Pobożna córka zawzięła się i zapowiedziała, że z młodym człowiekiem nie zerwie. A więc drugie nieszczęście: nieposłuszeństwo wobec rodziców! Co robić?

Redakcja radzi jednak nie zrywać, bo po ślubie może się młodzi dogadają i będą się przykładnie modlić przed i po jedzeniu. Proszę, jakie to zmartwienia ma na co dzień rodzina niemiecka!

Wspomniałem już, że wystawy księgarskie w RFN rzadko tylko protegują jakąś nowość. Już raczej czynią to prospekty firm wydawniczych. A oto parę przykładów, parę „typów" na ostatnie miesiące: „Życie miłosne hieny", autor — amerykański pisarz, Charles Bukowski. Sto tysięcy nakładu, „kamień milowy amerykańskiej literatury erotycznej", „księga seksu i pijaństwa", a przy tym „poemat o daremnej miłości". Następny szlagier „rzecz zatrącająca o polonicum: „Mroczne wspomnienia urodzonego we Francji polskiego Żyda" — autor: Pierre Goldman, zastrzelony na paryskiej ulicy młody pisarz o niebywałej biografii; skazany na dożywocie za rzekome podwójne morderstwo, po paru miesiącach zwolniony jako ofiara pomyłki, z czym nie mogli się pogodzić jacyś bliżej nie znani fanatycy swoistej „sprawiedliwości" — to oni wykonali wyrok na Goldmanie. A więc książka sensacyjna do kwadratu, reklamowana jako „autobiografia rozstrzelanego", jako „obraz niemego upadku i wstrząsającej walki o zejście ze świata w pełnej glorii przestępstwa". Ale jest też — znany u nas ze świetnej wersji filmowej — „Lot nad kukułczym gniazdem" Kesey'a i są — uwaga, co może nas szczególnie zainteresować: „Die Deutschland-Berichte" — Komunikaty z Niemiec. Co to jest? „Zebrana na dziewięciu tysiącach stron najstraszliwsza jaką posiadamy dokumentacja narodowego socjalizmu, Dziennik faszyzmu, pisany przez setki ludzi ze wszystkich stron Trzeciej Rzeszy od roku 1934 do wybuchu wojny". Dokumenty te to meldunki antyfaszystów, wysyłane konspiracyjnie za granicę, tam zestawiane w miesięczne biuletyny i w nakładzie około 400 egzemplarzy rozsyłane instytutom, parlamentarzystom, politykom. Z tych biuletynów ocalały rzekomo dwa komplety. „Po pięciu wydaniach trudno będzie komuś twierdzić, że się o niczym nie wiedziało — niczego nie domyślało".

„Nagły, niespodziewany napad na Polskę? Ależ już w 1934 roku wiedzieli adresaci raportów, że wzdłuż całej granicy niemiecko-polskiej prawie każda chłopska stodoła pełna jest zwojów drutu kolczastego..." Już w 1935 roku raporty donosiły o tym, że wytwórnia obrabiarek Pittler w Lipsku zainstalowała osiem automatów, które można z dnia na dzień przestawić na produkcję granatów ręcznych. Że jakaś mała grupa SA zamówiła nagle 40 tysięcy tornistrów. Że firma Ernemann pracuje nad nowym zapalnikiem do pocisków artyleryjskich, a w Aken nad Elbą powstaje nowa prochownia. „Permanentne naruszanie postanowień traktatu wersalskiego nie było żadną niespodzianką. Była nią bezczynność informowanych na bieżąco polityków..."

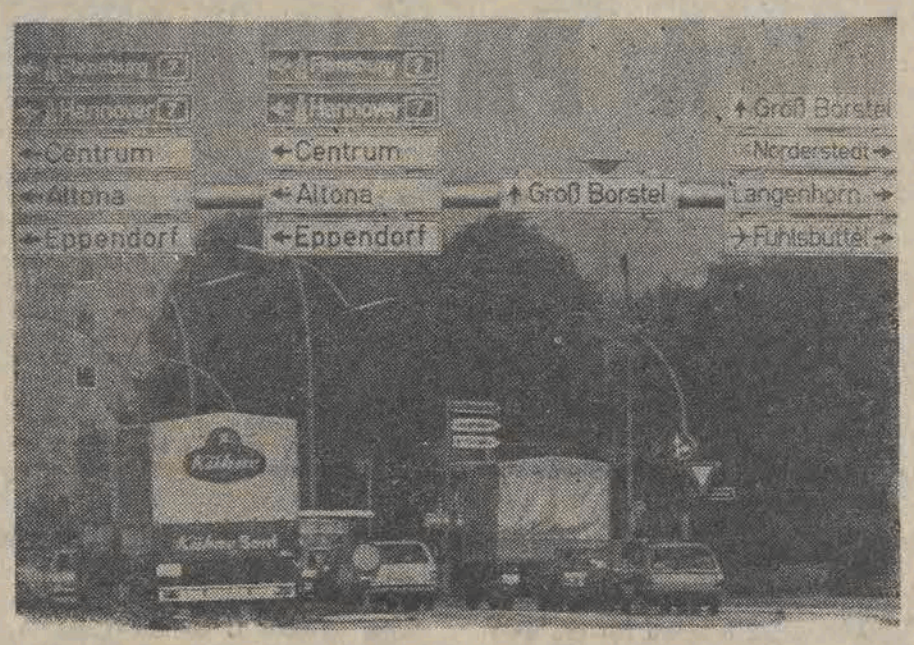


# TYDZIEŃ W POLITYCE

**Najczęściej w minionym tygodniu prasa zagraniczna pisała o uwolnieniu po 444 dniach amerykańskich zakładników.** Nastąpiło to na zasadzie dwustronnego porozumienia USA — Iran. W RFN, gdzie przebywali przez pewien czas, powitał ich [illegible] w roli specjalnego wysłannika nowego szefa państwa. Ten szczegół wymaga podkreślenia: Carter za czasu swej prezydentury nie doczekał się tego momentu i Reagan zrobił mu po prostu przyjemność, delegując na spotkanie. Gwoli prawdzie trzeba podkreślić, że porozumienie wynegocjowane zostało w tzw. okresie przejściowym — już po wyborze nowego prezydenta, ale przed jego zaprzysiężeniem. Obecna administracja bada więc teraz tekst porozumienia, a Carter zaapelował do swego następcy o przestrzeganie ustalonych zasad.

Były prezydent **zrobił aferę z brutalnego podobno traktowania zakładników** przez studentów muzułmańskich, ale czy tak było naprawdę trudno ustalić, ponieważ rzecznik rządu teherańskiego kategorycznie temu zaprzeczył.

Przypomnieliśmy kilka faktów z ostatnich dni, choć istotniejsze jest, **jakie mogą być następstwa** omawianego porozumienia. Twierdzi się w komentarzach, że Iran, będący ciągle w stanie wojny z Irakiem, potrzebuje amerykańskiej pomocy wojskowej. Czy zatem nastąpi widoczne ocieplenie na linii Teheran — Waszyngton? Pytająca forma tego zdania ma podkreślić wątpliwość piszącego, czy rzeczywiście tak potoczą się sprawy. Pozostawmy jednak wyjaśnienie biegowi czasu.

**Uwaga komentatorów wydarzeń zagranicznych kieruje się w ostatnich dniach również w stronę Arabii Saudyjskiej, gdzie zebrał się szczyt muzułmański.** Poprzedzony został on 6-dniową naradą przedstawicieli 38 państw, w czasie której wypracowano projekty dokumentów politycznych i gospodarczych oraz o współpracy społecznej i ekonomicznej.

Szczyt rozpoczął się w niedzielę, a więc nie możemy jeszcze nic powiedzieć o jego przebiegu. Tuż po zakończeniu konferencji przygotowawczej — agencje zachodnie podkreślały przede wszystkim to, że znaczny sukces odnieśli Palestyńczycy oraz że nie uzgodniono stanowiska wobec największego problemu świata islamskiego: jak położyć kres konfliktowi irańsko-irackiemu.

Przebieg rozmów szefów państw obserwowany jest z dużą uwagą, bo też świat muzułmański odgrywa w polityce znaczącą rolę.

A teraz przenieśmy się do Europy — zachodniej jej części.

Objęcie przez R. Reagana urzędu prezydenckiego **zaktywizowało europejskich sojuszników Stanów Zjednoczonych.** Trwają między nimi intensywne kontakty, w Rzymie odbyły się francusko-włoskie rozmowy na najwyższym szczeblu. Wszystko to wpisać można w tok przygotowań do odległego jeszcze i właściwie nie ustalonego spotkania przywódców zachodnich z nowym prezydentem Stanów Zjednoczonych.

**O co chodzi?**

Z różnych publikacji można wnioskować, że **zachodnie kraje europejskie chciałyby się skonsolidować i wspólnie być pełnowartościowym partnerem USA.** Czy wynika to z obawy, że Reagan będzie postępował zbyt samodzielnie, czy też z chęci wspólnego wpływania na amerykańską politykę zagraniczną — trudno przesądzać. Jest natomiast pewne, że **niektóre państwa zachodnioeuropejskie nie wiedzą naprawdę, co może przynieść zmiana w Białym Domu.** Najspokojniej, i z określoną nadzieją, reaguje Bonn. I znowu, jak w pierwszym temacie dzisiejszego przeglądu, trzeba powiedzieć: wszystko wyjaśni czas.

Tymczasem w Madrycie rozpoczęła się w bieżącym tygodniu **druga runda spotkania przedstawicieli 35 państw.** Po czterotygodniowej przerwie podejmie się najistotniejszą część rozmów — przedyskutuje zgłoszone propozycje, a w tym polską — o zwołaniu w Warszawie w październiku europejskiej konferencji odprężenia militarnego i rozbrojenia.

Harmonogram prac przewiduje, że w połowie lutego przystąpi się do redagowania końcowych dokumentów spotkania, które powinny zawierać wspólne postanowienia. Sensem madryckiego spotkania jest bowiem **przetarcie dróg dalszemu rozwojowi odprężenia w Europie.** Jak wiadomo, największe niebezpieczeństwa wynikają obecnie z trwającego i potęgowanego wyścigu zbrojeń. Dlatego też tematyce rozbrojeniowej Madryt powinien poświęcić wiele uwagi.

Komentatorzy szczególnie obserwować będą, jakie stanowisko zajmować będzie delegacja amerykańska, dla której instrukcje formułuje już nowa administracja.

W. SŁAWSKI

# KARNAWAŁ CZYLI ZAPUSTY

Mało kto dziś używa określenia zapusty. Na czas zabaw od Trzech Króli do środy popielcowej wszyscy mówimy — karnawał, choć to słowo cudzoziemskie, konkretnie — włoskie. Ale przecież przed laty ochoczo się bawiono wołając, że to zapusty — a po nich czterdzieści dni postu.

Dziś post jakby się nam nieco wydłużył, cóż to dla nas czterdzieści dni.

Jan Stanisław Bystroń, historyk polskich obyczajów, pisze, że „zapusty obchodzono hałaśliwie, wesoło i hulaszczo — nadchodzi 40-dniowy post, należało więc jeszcze użyć radości świeckiej". Dziś post jest sprawą jak najbardziej świecką.

Ale, oczywiście, dawni moralizatorzy bardzo ganili owe rozrywkowe zapusty. Jedzono ponad zwykłą miarę, pito ponad wszelką miarę, tańczono, śpiewano... Oburzał się na zapustne-rozpustne zabawy Mikołaj Rej, karcił je ks. Jakub Wujek... Zwłaszcza, że do ulubionych „numerów estradowych" staropolskiego karnawału należały żartobliwe kazania — coś w rodzaju parodii, które jakiś ówczesny Jan Pietrzak prawił zebranym, udając księdza na ambonie. Dziś się raczej parodiuje referaty, udając kogoś tam... na trybunie.

Ale zwyczaj, jak widać, jest stary i nie ma się o co obrażać.

W sowizdrzalskim zbiorku pieśni z początków XVII wieku zachowała się taka piosenka o staropolskim karnawale:

Mięsopusty zapusty
Nie chcą państwo kapusty
Wolą sarny, jelenie
I żubrowe pieczenie
Mięsopusty zapusty
Nie chcą panie kapusty
Pięknie za stołem siądą
Kuropatwy jeść będą...

Do zapustnych zabaw należały — wśród szlachty — kuligi, którymi objeżdżano okoliczne dwory. Pospólstwo w Krakowie brało udział w tzw. combrze, czyli w tańcach na krakowskim rynku... W bogatym Gdańsku urządzano pochody przebierańców, organizowane przez tamtejsze cechy... Gdański karnawał w ogóle słynął w całej Polsce, zwłaszcza bale we Dworze Artusa na Długim Targu, w których uczestniczyli nawet królowie.

Później, w wieku XVIII, najsłynniejsze bale karnawałowe urządzano w Warszawie. No ale dzisiaj jest to już raczej pieśń przeszłości. Dziś i bale skromniejsze, i stoły mniej wystawne, i chęć do zabaw pewno mniejsza.

Ostatnie dni zapustów zwano także mięsopustem. Wyraz ten, jak pisze Zygmunt Gloger, powstał z dwóch: mięsa opust, czyli pożegnanie, opuszczenie na cały czas Wielkiego Postu. Poeta, Kasper Miaskowski, z XVII wieku napisał długachny wiersz „Mięsopust polski", z którego przytoczę tu smakowite wyjątki:

„Tych wabią na gorzałkę
znowu przepalaną
Drudzy na garncu piwa
ciepłego przestaną,
Aż im i gęś przyniosą,
a pieczenią z chrzanem
I czosnek z rosołowym
postawią kapłonem
Kuropatwy bogatszym,
jarząbki, cietrzewie
które zbiera myśliwiec,
bądź sidłem na drzewie..."

Ale oczywiście, nie wszędzie i nie zawsze tak bywało. Kiedy przeglądam rocznik humorystycznej „Muchy" z karnawałowych miesięcy 1933 roku, nie znajduję tam żadnych dowcipów i ploteczek na temat karnawału. Jest tylko ponury rysunek z przebierańcem w połatanym kostiumie Pierrota.

Różne więc były w Polsce karnawały i różne jeszcze będą. Kalendarza nie zmienimy, tradycji nie przekreślimy, więc myślę, że warto było przypomnieć sobie, jak to drzewiej bywało.

WIDOK



# PANI IRENA

Ukazujący się od niedawna tygodnik „Płomienie" — poprzednio był to miesięcznik ZSMP — przynosi artykuł Janusza Ratzko pt. „Gwiazda za mgłą". Bohaterką tego artykułu jest pani Irena, gwiazda i dziennikarka telewizji. Janusz Ratzko w PS dodaje: „Artykuł ten został napisany w lipcu 1978 r. Nie mógł się ukazać albowiem jego bohaterka działała pod wysokim protektoratem prezesa Szczepańskiego. Prezesa na szczęście już nie ma."

Od 1971 roku popularne było u nas hasło „dostatniego życia". Któż nie chciałby żyć dostatnio. Tym bardziej, że jego dostatnie życie wiązało się nierozerwalnie z siłą całego kraju. Było to sprzężenie zwrotne. Jeśli ja żyłem dostatnio, to kraj rośnie w siłę, jeśli kraj rośnie w siłę, to ja powinienem żyć dostatniej. Tylko, że z różnych powodów zależność ta nie dotyczyła wszystkich. Kraj wprawdzie rósł w siłę, bo to i owo się budowało, bo to i owo kupowało się za granicą, ale nie było jeszcze tylu dóbr, aby wszystkim mogło się żyć dobrze. W takiej sytuacji musiała wykształcić się grupa ludzi, która z racji zajmowanych stanowisk, powiązań, zależności, zawodu mogła żyć bardziej dostatnio niż cała reszta. I tu się zaczyna problem z gatunku moralnych. Każdy, kto miał takie możliwości z wyżej wymienionych racji musiał sobie, w swoim sumieniu odpowiedzieć na pytanie: czy mam z tego korzystać skoro jest to tylko niczym nie zasłużony przywilej? Ludzie różnie sobie na to odpowiadali. Teraz muszą z tego zdawać sprawę.

Przykład pani Ireny jest tylko jednym z wielu. Telewizja, choć wielekroć krytykowana, jest wszakże instytucją o wielkim prestiżu społecznym. Część tego prestiżu spada na każdego pracownika TvP. Jest to część ogólna, nierówna. Są gwiazdy TvP i są ludzie tam pracujący. Pani Irena jest gwiazdą. Janusz Ratzko tak o niej pisze:

„A za jej to właśnie sprawą płyną od czasu do czasu słowa gładkie, wypowiedziane na ogół w scenerii kameralnej, wykwintnej nieomal. Słuchamy o ideałach i życiu godnym, o aspiracjach i dążeniach, o ambicjach i wzorach osobowych, o tym co powinno ludzi łączyć i jak pielęgnować wartości moralne, jak je przekazywać pokoleniom — słowem, jak żyć, pracować, tworzyć." („Płomienie" nr 4 z 21 stycznia 1981 roku).

A tymczasem.

W kwietniu 1977 roku — jak wynika z akt sądowych Sądu Rejonowego dla Warszawy-Pragi, na które się Janusz Ratzko powołuje — pani Irena pożyczyła od małżonków Kazimiery i Jana L. 200 tysięcy złotych. Oddawała nieregularnie, a niespłaconą sumę 84 tysięcy złotych wierzyciele ściągnęli od żyranta Romana U. On to też wniósł sprawę do sądu. Pani Irena na rozprawę się nie pofatygowała, a sąd zasądził od niej nie tylko owe 84 tysiące zł, ale też koszty sądowe w wysokości 7572 zł.

Ale na tym nie koniec. Do tegoż sądu wpłynął pozew od wrocławskich Zakładów Sprzętu Grzejnego „Predom", które pani Irenie dostarczyły kuchnię gazową. Było to w lipcu 1975 roku. Do zapłacenia pozostało 6 tysięcy zł. Wrocławski „Predom" wystąpił do sądu w Warszawie w dwa lata później. Pani Irena uregulowała wreszcie należność, gdy sprawa znalazła się w sądzie, ale sąd zasądził od niej odsetki i koszta sądowe.

W tym samym sądzie po raz trzeci znalazła się sprawa pani Ireny, tym razem z pozwem wystąpiły Wielkopolskie Fabryki Mebli w Obornikach Wielkopolskich, które robiły dla pani Ireny meble nietypowe, za które znów „zapomniała" zapłacić 105 100 zł. Nim sąd zaczął sprawę rozpatrywać pani Irena wpłaciła 102 100 zł, pozostała więc już dłużna tylko 3 tys. zł, ale okazało się że koszty wykonania mebli zostały zaniżone o 5200 zł. I znów pani Irena nie pofatygowała się do sądu, no i będzie musiała zapłacić brakującą sumę 8200, 6 procent odsetek za okres zadłużenia oraz koszty sądowe.

Artykuł Janusza Ratzko czytałem z niesmakiem. Nie lubię pogoni za tanią sensacją, zaglądania komuś do sypialni, do rondli, do portfela. Opinii społecznej nie jest jednak obojętna moralna motywacja działania ludzi, którzy tej opinii są dobrze znani i do których chce ona mieć pełne zaufanie. Dlatego tak ważne są moralne motywacje działania ludzi, którzy powinni stanowić przykład dla innych. A niestety, wielu nie zdało takiego egzaminu.

Czytałem niedawno takie tłumaczenie. Komuś eksponowanemu założono bojler. Nie zapłacił rachunku za założenie i bojler. Sprawa wyszła na wierzch. Obwiniono administrację, że nie dopatrzyła. Tylko ów ktoś eksponowany miał sporo czasu, aby przypomnieć, że jest administracji winien za bojler i za pracę. Ludzie eksponowani o takie sprawy powinni dbać szczególnie. Im nie wolno „zapominać". Są to koszty społecznego eksponowania. I nie ma na to rady.

MARCIN RODAK



# DWA PROGRAMY

Wprawdzie to styczeń, a zatem zgodnie z kalendarzem pada śnieg, jest mroźno, zima w pełni. Gdybyśmy jednak odwołali się do kalendarza nastrojów społecznych, to trzeba byłoby powiedzieć, że znów mamy listopadową aurę niepokoju, niepewności i obaw o dni, które nadejdą. Znów racje ścierają się z emocjami, idee z żelaznymi prawami praktyki. Pogubiliśmy się w rozumieniu tego, co jest taktyką, co społecznym ideałem, co wspólnym celem. Właśnie wspólnym. Mam wrażenie — a mogę się mylić — że w tamte listopadowe dni owa wspólnota była widoczna w sposób klarowny i jasny. Teraz jakby nastąpiła polaryzacja: jakaś część spraw jest rzeczywiście wspólna, jakaś co najmniej dyskusyjna, a reszta chyba rozbieżna.

Wdałem się w uwagi zapewne obco brzmiące w rubryce „Telewizja". Tym bardziej, iż tv w małym stopniu (powiedziałbym nawet „w bardzo małym") pozwala na rozpoznanie tych wszystkich problemów, które jak lawina suną na nas zewsząd. Rozmawiamy, uczestniczymy w zebraniach, pracujemy, stoimy w kolejkach, czytamy gazety — te drukowane i te powielane — nasłuchujemy radia. Wszystko to tworzy w nas istną plątaninę perswazyjnych sił nacisku, w której zagubił się początek nitki wysuplanej przez Polski Sierpień. Telewizja zajęła pozycje obronne, tylko można byłoby zapytać: kto broni, kogo i przed czym. Rzeczywiście, należy się zgodzić z tym, że TvP zmieniła ton. W programie „Dzień dobry, w kręgu rodziny", gdzie kiedyś mówiło się jak przyozdobić łazienkę glazurą, jak ustawić kwiaty w wazonie, teraz alarmuje się na temat alkoholizmu, trudnych warunków egzystencji ludzi starych itd. Dopuściło do głosu nowe środowiska „Tele-Echo". Inaczej z seniorami rozmawia się w „Klubie Seniora", nie tylko o tzw. aktywnej starości i racjonalnej diecie. Tu można byłoby podać jeszcze ze dwa, trzy przykłady, nie więcej. Mamy „Listy o gospodarce", także Ekran Reporterów „Blisko i daleko", Magazyn spraw pracowniczych „Impulsy". To prawda. Jednak ciągle ma się wrażenie, że program telewizyjny istnieje obok, że wytworzyły się jakby dwa programy (stąd tytuł felietonu), z których jeden trwa inercyjnie od lat, a drugi bardzo, bardzo nieśmiało zdobywa sobie miejsce na małym ekranie. Ale i ten drugi program — jeśli przyjąć moję obserwacje — przekazuje drobiny rzeczywistości jakieś jej wyimki, fragmenty które wprawdzie mówią o czymś, czego dotąd nie wiedzieliśmy, bądź nie uświadamialiśmy sobie, jednak owe skrawki są pełne dziur i miejsc pustych. Nie odzwierciedlają ani atmosfery ostatnich miesięcy, ani najistotniejszych problemów i konfliktów.

Oto na przykład podziennikowe „Nasze spotkania" prezentowały początkowo nowo kształtujący się program PZPR (wypowiadali się działacze, którzy teraz ten program będą formować). Potem „Nasze spotkania" zmieniły się w rubrykę na materiały, które nie mieściły się czasowo w dzienniku (np. karlińska ropa), obecnie stały się trybuną rządu. Nie neguję treści, które w „Naszych spotkaniach" są prezentowane, zastanawia mnie tylko potrzeba takiej etykietki dla audycji nie dających się w żaden sposób sprowadzić do wspólnego mianownika. Ktoś mógłby powiedzieć: mniejsza o formy, ważne są treści. Jak pokazują ostatnie tygodnie wcale tak nie jest. Ale jeśli już podjąłem ten temat: czyż nie jest jakimś niewytłumaczalnym paradoksem, iż minister Obodowski (jakkolwiek interpretowalibyśmy jego wypowiedzi) zaprezentował stanowisko rządu wraz z argumentacją, dopiero w trzecim wydaniu dziennika, na kilka dosłownie godzin przed kontrowersyjną sobotą w dniu 10 stycznia? Że dopiero teraz TvP się uaktywniła, że w przeciągu ostatnich dni usłyszeliśmy racje tylu ministrów, ilu przedtem nie oglądaliśmy przez całe lata? Że wciąż nie znamy sedna sporu (aluzyjne dopowiedzenia nie zastąpią klarownej informacji), że wciąż oczekujemy, aby i druga strona przedstawiła swoje argumenty (to także miałem na uwadze stawiając na początku tego tekstu tytuł „Dwa programy")? Niby „Dziennik" odwołuje się do opinii publicznej, podsuwając mikrofony co raz to komuś z tzw. szarych obywateli. Ten jest za wolnymi sobotami, ów ma dosyć i nawołuje do pracy, tamten uważa, że w obecnym stanie naszej gospodarki za wcześnie na wprowadzenie wszystkich wolnych sobót. Czy z tych sondaży coś wynika? Obawiam się, że nic. Co najwyżej przekazują one, i to też w stopniu minimalnym, jakieś stany emocjonalne, którym wszyscy się poddajemy. Nie zastąpią one w żaden sposób autentycznej i zracjonalizowanej konfrontacji argumentów. A tego w telewizji nie ma.

Czy powienienem winić za to Irenę Falską, albo może Grzegorza Woźniaka, czy redaktora Racławickiego? Nawet nie wiem czy powyższe krytyki mogę odnosić do szefa Redakcji Naczelnej Dziennika Telewizyjnego. Więc do kogo? Nie wiem. Takie pytania zadałem w 41 numerze „Odgłosów" z ubiegłego roku. Przecież nikt na nie nie odpowiedział.

GRZEGORZ GAZDA



# SZKOLNY PUNKT SKUPU PIENIĘDZY

Aczkolwiek o braku papieru wszyscy wiedzą, a o zbieraniu makulatury wszyscy dyskutują i postulują, to jak z tym zbieraniem jest w istocie — wszyscy widzą. A właściwie widzieli: harcerzy i uczniów, znoszących stare gazety i książki do szkół. Inicjatywa była to pożyteczna.

Miała też ona jednak zdecydowane wady. Dzieci, patrząc na sterty butwiejącego papieru w szkole, albo obok niej, zwykle w pobliżu śmietnika, niekiedy myślały sobie to i owo na temat marnotrawienia ich wysiłku i skrzętności; czasami — jak to dzieci — zadały kłopotliwe pytanie o dalsze losy tych papierów; a co bardziej rozgarnięty wisus z trudem opierał się chętce rozwiązania problemu przez podpalenie. Same kłopoty — bo to szkoła miała trudności z transportem, a punkty skupu też lubiły wybrzydzać.

Miło więc zawiadomić o nowatorskim, prostotą wręcz fascynującym pomyśle jednej ze szkół w Łodzi, który to pomysł wszelkim kłopotom zaradza. Racjonalizacja wzięła się z próby dania śmiałej odpowiedzi na pytanie: po co dzieci mają znosić makulaturę do szkoły? Niech lepiej chodzą od razu do punktu skupu, a do szkoły przynoszą pieniądze, plus kwit sprzedaży. Wyznaczony limit na każdą głowinę: dwanaście kilogramów makulatury, z którą nie bardzo wiadomo co robić, zamienia się na metalowe 24 złote, które można przechowywać w skarbonce, a transportować w portmonetce. Oto pomysł co się zowie!

Pomysłodawca godzien jest co najmniej Medalu Komisji Edukacji Narodowej. Że zaś dziecko chodzić musi do punktu skupu — nie zawsze czynnego i od domu oddalonego? To mu tylko na zdrowie wyjdzie — wszak taszczenie kilogramów tam i z powrotem rozwija tężyznę fizyczną! Że pracownik punktu skupu złym okiem patrzy na chmary uczniaków, ustawiających się w kolejce z paczuszką makulatury każdy — tak niewielką, że „nie opłaca się wypisywać kwitu", w związku z czym rugnie to tego to owego ucznia słowem rynsztokowym? — No cóż, to też jest lekcja: praktyczne uzupełnienie teoretycznych zajęć szkolnych z wychowania obywatelskiego. Że pracę społeczną można zamienić na makulaturę, a tę na złotówkę, czyli że pracę społeczną można zamienić na złotówkę, a tę oddać szkole? O właśnie, o to chodzi: uczcie się dziatki, że godzina pracy społecznej ma wymierną wartość dwuzłotówki i żadnych profitów dla własnego mieszka nie daje. Podliczcie czas tracony na dotarcie do punktu skupu i czas na powrót do domu — a dojdziecie do jedynie słusznych wniosków, czym jest praca społeczna i czym są apele i hasła o zbieranie cennych surowców wtórnych.

Dzieci od maleńkości uczyć należy, że w cenie jest tylko godzina siedzenia „za pensję" lub praca „na fuchę"; należy rozwiewać złudzenia (Młodości, ty nad poziomy wylatuj...), zaszczepiać trzeźwość spojrzenia na rzeczywistość. Brawo pedagodzy ze szkoły imienia Wielkiego Artysty (bo takie godne imię nosi szkoła). Tamten był fanstastą — dźwiękiem wskrzeszał wizję Polski w duszach i umysłach, gdy jej na mapie nie było. Czasy się jednak zmieniają — dziś nam trzeba realizmu, racjonalizmu, a szczypta cynizmu też nie zawadzi. Popracujcie przeto dziatki głową, „pogłówkujcie"!

A pogłówkowawszy — rodziców przymuście, aby wam makulaturę zebrali, do punktu skupu oddali, i należność wraz z kwitkiem do rączek przekazali. Główka pracuje. Nauka nareszcie nie chodzi do lasu. To lasy chodzić będą na makulaturę, zwłaszcza, gdy drukowano na nich stare podręczniki pedagogiki szkolnej, i dekalogi etyki nauczycielskiej — tę mowę trawę dla wapniejących frajerów.

J. STANISŁAW KNYPL
(ojciec i nauczyciel)

PS.: Jako osobnik wierny pewnym ideałom — bez nadziei na uleczenie choć światopoglądu materialistycznego z tłem dialektycznym, wierzę, że dzieciom, które pomysł ten do szerszego spopularyzowania podały, życie szkolne nie zmieni się w czyściec, a włos im z głowy nie spadnie.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; al. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28 konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153-201045-139, prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy w Łodzi. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 135. K-2.